ŻYCIE

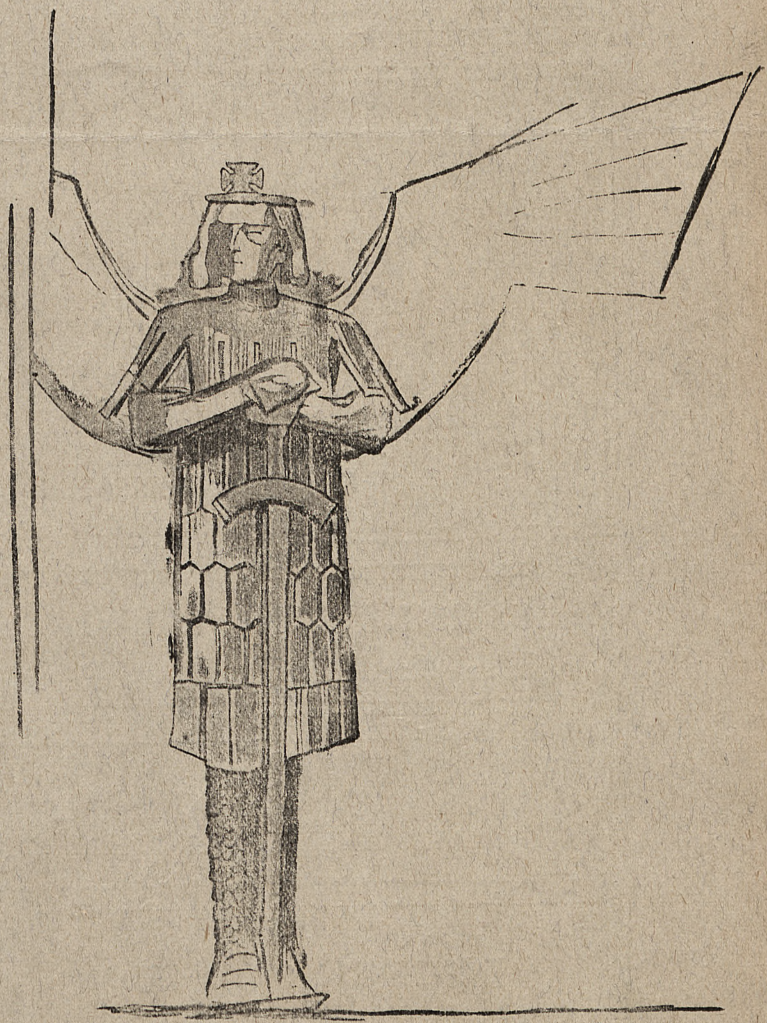
ROCZNIK II. ZESZYT X.

DNIA 4. MARCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA:
WE LWOWIE, ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A.
ADMINISTRACYA:
UL. DĄBROWSKIEGO 2. PARTER NA PRAWO.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURYERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA". :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

W. LIS.

NOWA FALA AGRESYWNOŚCI ROSYJSKIEJ.



Stosunki rosyjsko-chińskie, na które powszechna uwaga zwrócona jest teraz z powodu noty rządu rosyjskiego, stanowią bardzo charakterystyczną kartę w dziejach państwa carów. Rosya zawdzięcza całą swoją istotę, stan dzisiejszy i tendencye, nabyte w ciągu długich wieków, grabieżom ziemi sąsiadów, przytem sąsiadów, którzy szczęśliwym dla Rosyi zbiegiem okoliczności byli od niej słabsi. Chiny musiały zatem podlegać ogólnemu prawu i nie mogły być przez Rosyę inaczej traktowane, jeno jako objekt mającego z czasem nastąpić podboju. Hamulcem był tu dla Rosyi tylko stosunek sił, czyniący połknięcie części terytoryum chińskiego zbyt ryzykownem. Tak było przed wojną japońską, kiedy ambasador rosyjski w Pekinie wzniósł toast na cześć dwu państw, które jak wiadomo, od wieków kroczą na czele postępu, Rosyi i Chin, a publicyści czarnosecinni piali hymn na cześć „Rosyi mongolskiej“, tak jest i dziś.

Największe zdobycze Rosya poczyniła na Chinach w lat. 1858 i 1860, gdy została jej ustąpioną olbrzymia przestrzeń kraju na lewym brzegu Amuru oraz okręg Usuryjski nad oceanem Spokojnym. Ziemie te zajmowane były przez Kozaków jeszcze w w. XVII., ale Chiny były dla Rosyi ówczesnej potęgą zbyt groźną, to też wyrzekła się ona swych pretensyi i uznała władzę Chin nad obu brzegami Amuru. Dopiero w r. 1850, gdy wybucha w Chinach południowych powstanie Taipingów, zaczynają się ekspedycye „naukowe“ nad Amur, za niemi posuwają się już bezczelnie hordy kozackie, aż wreszcie kraj zostaje zaanektowany i w chwili największej bezsilności Chin, ustąpiony.

Nieco później zrewoltował się Turkestan wschodni i utworzyło się tam niezależne od Chin potężne państwo mahometańskie, pod wodzą Jakub Bega. Rosya przyglądała się temu spokojnie. Ale Chińczycy, po zawarciu pokoju z Francyą i Anglią, uzyskali pomoc tych państw dla stłumienia rozruchów wewnętrznych, które groźne były dla handlu międzynarodowego. Uporawszy się z Taipingami, wojska chińskie zaczęły się koncentrować w zachodnich prowincyach państwa. Wtedy Rosya, pragnąc uprzedzić Chińczyków, zajęła w r. 1871 drugą prowincyę chińską, mongolskie Ili ze stolicą Kuldżą. Podbój odbywał się według starych tradycyi rosyjskich.

Steroryzowano ludność rzezią, a w niektórych rodzinach oficerskich jeszcze za czasów swej młodości widziałem wspaniałe jedwabie i porcelany, pochodzące z Kuldży. Zajęto 70.000 kilometrów kwadratowych (połowa królestwa) kraju zaludnionego rzadko (130.000 mieszkańców według spisu z r. 1876), ale urodzajnego i pełnego kopalń.

Tymczasem Chiny, wzmocniwszy się wewnętrznie, zaczęły odzyskiwać utracone prowincye. Jakub Beg umarł od trucizny, a jego syn Beg Kuli Beg, po roku rządów pobity został przez wojska chińskie. Odzyskawszy Turkiestan rząd chiński, opierający się na znacznej, skoncentrowanej tam armii, zaczął domagać się od Rosyi zwrotu Kuldży. I, jak zwykle bywa w tych wypadkach, gdy Rosya nie czuje się dość silną, ustąpiła ona, zwróciła Chinom Kuldżę, zatrzymując tylko $^1/_7$ część terytoryum i uzyskując w zamian pieniężne odszkodowanie (9 mil. rubli) i traktat, o który teraz idzie.

Data tego traktatu, który dziś oburza patryotów rosyjskich, jako objaw słabości, jest charakterystyczna. Kiedyindziej może bardzo być, iż nie zostałby on zawarty. Ale odbyło się to w lutym 1881 r., kiedy na cara Aleksandra II. ze wszystkich stron czyhały już bomby, pozostawiając mu zaledwo parę tygodni życia, w biurku leżał gotowy projekt konstytucyi, a uwaga rządu zwrócona była zupełnie na co innego, niż na podboje zewnętrzne. W ten sposób pośrednio rewolucya rosyjska przyczyniła się do uwolnienia Chińczyków od drapieżnych rządów satrapów rosyjskich.

Później uwaga Rosyi skierowana została na Mandżuryę i Koreę, a gdy Aleksiejewów wyparł stamtąd bagnet japoński, zjawił się zaraz neoslawizm, pragnący „wyzwolić“ Słowian tureckich oraz austryackich. I ten plan, pomimo całej pomocy p. Dmowskiego, nie udał się, przekreśliła go bowiem rewolucya młodoturecka oraz zbudzenie się samowiedzy państwowej w Austryi.

Jednak Rosya nie może żyć bez agresywnej polityki zewnętrznej. Potrzebne jej to jest dla utrzymania powagi rządu w oczach mas ludowych, którym tylko powodzenie imponuje, leży w interesie zgrai głodnych wilków — spekulantów, którzy zawierają złodziejskie, oburzające ludność kontrakty w państwach azyatyckich, wreszcie odpowiada charakterowi państwa, które rządzone jest przez spychające się wzajemnie ze szczebli władzy kliki ludzi, mających na oku przedewszystkiem interes osobisty i gotowych *de coeur léger*, „z lekkiem sercem“—jak mówili ministrowie Napoleona III. w r. 1870, wplątać państwo w awanturę. Zwrócono zatem ponownie oczy na Chiny.

Przyczyniła się tu pewna specyalna okoliczność. Traktat z r. 1881 daje Rosyi szereg przywilejów bardzo poważnych (eksterytoryalność poddanych rosyjskich w Chinach, ich wolność od ceł i opłat w pewnych prowincyach i t. p.). Tymczasem rząd chiński, ufny w przyjaźń Japonii i Niemiec, postępował w sposób, wręcz odmienny od dawnej uniżoności i pokory w stosunku do Rosyi. A przy znanej chciwości, bezczelności i szachrajstwie kupców rosyjskich, taka „krnąbrność“ chińska była nie do zniesienia, szczególniej, gdy punkty traktatu zdawały się pobłażać wszelkim bezprawiom. Trzeba było skorzystać z pierwszej sposobność, by zmienić ten stan rzeczy. I sposobność ta znalazła się teraz.

Rząd niemiecki, który był głównym winowajcą buńczucznej postawy Chin względem Rosyi, postąpił w tym wypadku tak samo, jak niedawno w stosunku do Persyi, a ongiś — do Marokka. Za korzyści, otrzymane w Poczdamie, zrzekł on się widocznie obrony interesów chińskich, a Rosya, uzyskawszy z tej strony zapewnienie neutralności, nie omieszkała z tego skorzystać. I z Japonią nastąpiło coś podobnego. Pierwotnie państwo to wszelkiemi siłami starało się odrodzić Chiny, widząc w tem gwarancyę własnego bezpieczeństwa. Ale dziś coraz liczniejszem staje się w Japonii pokolenie „nowoczesnych Japończyków“, którym ogromnie zasmakowały zyski ze spekulacyi w Korei i którzy nie roznamiętniają się już tak bardzo idealną kwestyą „obrony rasy żółtej“; nie dopuszczą wprawdzie do upadku samodzielności Chin, ale chcieliby utrzymać to państwo w pewnej zależności od siebie, a może nawet w cichości ducha sprzyjają upokorzeniu Chin przez Rosyę, co by powiększyło cenę ich przyjaźni. Dlatego też japoński minister spraw zagranicznych tak prędko wyraził swą nadzieję, iż „sprawa zostanie po przyjacielsku załatwiona“.

Korzystając z tego wszystkiego Rosya wręczyła rządowi chińskiemu notę, w której stawia żądanie, streszczone w 6 punktach i mające w całej pełni odtworzyć dawne przywileje Rosyan w Chinach. W razie odmowy grozi jakiemiś nieokreślonemi „środkami, które uzna za stosowne“, przyczem prasa rządowa tłumaczy to w ten sposób, że wojska rosyjskie mają zająć Kuldżę i prowincyę Ili.

I ta sprawa, podobnie jak umowa Poczdamska, wywołała we Francyi i Angli nieukrywane wcale oburzenie. Dziwaczny „sojusznik“, który przy każdej sposobności myśli tylko o swoim interesie, wzbudza tam coraz mniejsze zaufanie. I nie jest wcale wykluczone, iż dyplomacya niemiecka z taką sympatyą odniosła się do postępku Rosyi, by w ten sposób wbić jeszcze jeden klin między kiwające się szprychy trójporozumienia. Rząd francuski, za pośrednictwem oddanego sobie „Matin'u“ pospieszył zaprzeczyć wieści, jakoby między Poczdamem a notą rosyjską istniał jakiś związek, poczem będzie zapewne dalej zapewniał o trwałości aliansu, ale nie dowodzi to niczego, gdyż dyplomacya francuska nie może inaczej postąpić, o ile nie chce zupełnie aliansu się wyrzec.

W ten sposób Chiny pozostawione są swoim własnym siłom. A siły te nie są jeszcze wystarczające, by módz ryzykować wojnę. Odrodzenie Chin jest dopiero w trakcie odbywania się, konstytucya, którąby dała narodowi możność stanowienia o swym losie, nie istnieje jeszcze, armia organizuje się dopiero i podobno za 2 lata ma dojść do siły 440.000 ludzi, uzbrojonych i wyćwiczonych po europejsku. Chiny będą zatem prawdopodobnie starały się zyskać na czasie i biernym oporem odtargować coś od żądań rosyjskich. Ale jakikolwiek obrót sprawa przybierze, można być pewnym, iż umocni ona w sercach patryotów chińskich przeświadczenie o konieczności powalenia z czasem sąsiada, czyhającego

stałe na godność i samo istnienie państwa chińskiego.

Dla nas przykrą być może myśl, że w krótkim czasie upokorzony zostanie, a może nawet krwawo dotknięty naród, budzący się właśnie do nowego, samodzielnego życia. Ale nie mamy żadnej możności zapobiedz temu. W Rosyi opinia nasza nie ma bowiem żadnego znaczenia, Austrya zaś zbyt mało posiada interesów w Chinach, by można było myśleć o jej zajęciu się tą sprawą. To też możemy tylko z przyjemnością patrzeć, jak nasz najezdca rozpoczyna dobrowolnie awanturę, która — może nie dziś, ale w przyszłości — jest w stanie sprowadzić nań takie same klęski, jak ongiś awantura koreańska. A pierwsza wojna, którą Rosya rozpocznie, powinna być ostatnią, w której lać się będzie krew polska na usługach caratu.

22. lutego.



DR. BOLESŁAW LIMANOWSKI.

SPRAWA POLSKA.

(WŁADYSŁAW STUDNICKI: „SPRAWA POLSKA“. POZNAŃ. 1910.)

Naród polski, który w tysiącletniem swojem istnieniu uratował dwukrotnie piersiami swojemi cywilizacyę europejską od niszczącego najazdu barbarzyństwa azyatyckiego, który ustrojem swym wolnościowym i wyższością swej kultury zjednywał sąsiednie narody do wspólności z sobą związkowej, który zbudował rozległą i potężną Rzeczpospolitę, świecąc innym narodom przykładem swej „złotej wolności“, — naród ten został pobity, pozbawiony bytu politycznego, rozdarty na trzy części, wepchnięty pod jarzmo obcych, wrogich mu państw. Dlaczego się to stało, co tego było powodem?

Pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej — był to zwykły rozbój, wykonany przez zmówione z sobą trzy państwa nad osłabionym swym sąsiadem. Nie było to wyjątkowe jakieś zjawisko. Był to zwykły „rozbójniczy system“ — jak powiada historyk francuski, Sorel. Wszak trzydzieści tylko lat temu Fryderyk II., król pruski, w podstępny sposób napadł na posiadłości austryackie Maryi Teresy i zabrał jeden z najpiękniejszych jej krajów, Śląsk.

Inaczej rzecz się przedstawia z drugim rozbiorem. Naród polsko-litewski odczuł boleśnie klęskę, zadaną mu w 1772 r. Światlejsza jego część spostrzegła, jakie niebezpieczeństwo groziło Rzeczypospolitej i wolności narodowej. Widziała, że jest konieczną naprawa budowy państwowej: przez pomnożenie liczby narodu politycznego uobywateleniem mieszczan i przez zjednanie dla Rzeczypospolitej przychylności włościan polepszeniem ich bytu. Wynikiem tego była konstytucya 3-go maja 1791 r. Była ona w znacznej mierze spowodowana temi falami rewolucyjnemi, które z nad brzegów Sekwany biegły po całej Europie. Przeciwko stronnictwu konstytucyjnemu wystąpiła szlachta możnowładcza, konserwatywna, jako kontrrewolucya. Była to sromotnej pamięci Targowica. Widząc zaś, że jest w mniejszości w narodzie, powołała Moskwę na pomoc przeciwko jakobinom, rewolucyonistom. Drugi rozbiór Polski — było to wytworzenie tamy przeciwko bijącym falom rewolucyjnym.

Tama ta jednak nie powstrzymała rozpędu fal rewolucyjnych, i oto w 1794 r. nad Wisłą powstaje silne ich spiętrzenie, grożące wylewem rewolucyjnym na kraje sąsiednie. Uniwersał Połaniecki, ogłaszający wolność osobistą włościan, wielokrotnem odbija się echem i w Prusach Zachodnich, i na Śląsku, i w Galicyi, i wieść o siermiężnym generale, niosącym ludowi oswobodzenie, biegnie na Żmudź, Litwę, Białoruś i nawet w dziedziny Pskowa i Nowogrodu. Dlatego to naród otoczył Kościuszkę tak wielką, tak głęboką czcią. Monarchie kontrrewolucyjne, zagrożone przez rewolucyę polsko-litewską, połączonemi siłami zdusiły ją i narodowi polsko-litewskiemu, odebrawszy własne jego domostwo, narzuciły jarzmo niewolnicze. Podzieliły się i ludnością i ziemią jej zabraną. Padliśmy ofiarą zwycięstwa kontrrewolucyi nad rewolucyą.

Pisarz francuski, Charles Dany (właściwie Niewęgłowski, wnuk wychodźcy z 1831 r., lecz już zupełnie sfrancuziały) w swojej sumiennej i gruntownej rozprawie p. t. „Les idées politiques et l'ésprit public en Pologne á la fin du XVIII.

siècle" (Idee polityczne i duch publiczny w Polsce na końcu XVIII. stulecia), bardzo trafny daje pogląd na ostatnie przedrozbiorowe lata dziejów naszych.

„Po 3-cim maja — powiada Dany — nastąpiła Targowica, po Targowicy — drugi rozbiór kraju, a wreszcie, pomimo bohaterskiego Kościuszki, trzecie i ostateczne jego rozebranie. Lecz podczas tej nierównej walki Polska codziennie zyskiwała na większej jedności i spójności: 3 maja 1791 r. światła burżuazya skojarzyła się ze szlachtą; po drugim podziale, podczas powstania 1794 r., ludność w całej masie stanęła w obronie najechanej ojczyzny, i było to powstanie prawdziwie narodowe. Jedność Polski (trzeba rozumieć: narodu polskiego — mój przypisek) wytworzyła się pod wpływem nieszczęścia i w nieszczęściu, pod ożywiającem tchnieniem najczystszego patryotyzmu. Polska przestała istnieć jako potęga polityczna w systemie mocarstw europejskich, lecz nie przestała istnieć jako naród wśród rodziny narodów tej części świata, i dusza Polski przeżyła jej rozczłonkowanie. Męczeństwo tego narodu nie było bezużyteczne: wzmogło ono żywotność polską i ocaliło Francyę, powstrzymując pochód skoalizowanych kohort i udaremniając ich walkę z Rewolucyą francuską".

Polska jako państwo przestała istnieć, lecz żywotność narodu polskiego — jak słusznie zauważył Dany — wzmogła się. Było to następstwem skojarzenia patryotyzmu polskiego z myślą rewolucyjną, zespolenia sprawy narodowej z usiłowaniem uobywatelenia całej ludności, podjęcia walki z kontrrewolucyą o wolność i równość powszechną. To zapewniło nam poważne znaczenie w dziejach wyzwolenia się narodów europejskich, i to jedynie zapewni nam odzyskanie zupełnej niepodległości. Rewolucyjne bowiem pojmowanie państwa jest biegunowo odmienne od tego, jakiem ono było przed Rewolucyą, jakiem ono jest w monarchiach kontrrewolucyjnych. Podług zapatrywania się rewolucyjnego, nie ludność istnieje dla państwa, lecz państwo powinno istnieć dla ludności. W państwie starego porządku, ludność, to poddaństwo; w państwie przyszłościowem — wszyscy są obywatelami, cała ludność jest gospodarzem. Zasada ta nie daje się pogodzić z krajaniem, ćwiartowaniem narodów, z ograniczeniami ich praw, z podziałem obywateli na obywateli pierwszego i drugiego rzędu. Rewolucya w dalszym swym biegu musi dojść do wyzwolenia narodów z poddaństwa państwowego.

Oto jest zasadniczy punkt rewolucyjny, od którego Władysław Studnicki, pomimo swej rewolucyjności, jest daleki. U niego interes państwowy, terytoryalny, tak zwana racya stanu przeważa nad interesem narodowym, ludnościowym, przeobrażenia się całej ludności jednorodnej, pokrewnej w jeden spoisty, świadomy swych praw obywatelskich organizm narodowy. Stąd też pochodzi, że niedocenia on olbrzymiego znaczenia, jakie miało rewolucyjne skojarzenie sprawy narodowej ze sprawą uobywatelenia włościan. Zdaniem jego, „proklamowanie, a nie przeprowadzanie reformy musiałoby wywołać ogólny zamęt, uniemożliwiający prowadzenie wojny" (str. 224). Nie wierzy on, by mogło ono poruszyć włościan, wywołać w nich zapał do walki zaciętej z najeźdzcami. We Francyi, wobec najazdu skoalizowanych mocarstw, nie lękano się „zamętu", i wyszło to na korzyść narodu francuskiego.

Gdyby nawet istotnie — jak mniema autor — odwoływanie się rewolucyjne do interesów samego ludu, „wobec energii masy włościańskiej i braku jej wiary w zapowiedziane reformy", nie dało „nigdy skutków politycznych oczekiwanych", to jednak on sam przyznaje, że było „zawsze czynnikiem emancypacyi społecznej warstw włościańskich" (str. 84). A ta emancypacya uczyniła narod silniejszym p o l i t y c z n i e, i to z dwóch względów: poczucie narodowe wzmogło się u włościan, z biernego przeistacza się w czynne, i ten antagonizm, jaki istniał jeszcze przed 1863 r., pomiędzy surdutowo-szlachecką i siermiężno-chłopską ludnością, jeżeli nie znikł zupełnie, to w każdym razie wielce osłabł. Tego p l u s u ogromnego naszych rewolucyi nie ocenił Studnicki. Dzisiaj działalność rewolucyjna pomiędzy włościanami ma warunki o wiele pomyślniejsze, aniżeli to było przed 1863-cim rokiem.

Lecz czy istotnie inercya masy włościańskiej i jej brak wiary w zapowiedziane reformy przyczyniły się do tego, że odwoływanie się rewolucyjne do włościan nie osiągnęło „skutków politycznych oczekiwanych", to jest, masowego przystąpienia do powstań naszych zbrojnych w 1794, 1831 i 1863 r.? Pisarze nasi demokratyczni inaczej o tem sądzą. Studnicki mało się obeznał z ich pismami i większe ma zaufanie do naszych „powag ex cathedra". Nie zbadał on dokładnie przebiegu sprawy włościańskiej, tak nader ważnej sprawy dla powodzenia naszej walki o niepodległość. Przedstawia nawet fałszywie jej przebieg w 1831 r. Wziął projekt kwietniowej uchwały sejmowej za samą uchwałę. Właśnie kwietniowa dyskusya sejmowa świadczy najdobitniej, że nie inercya masy włościańskiej, lecz egoizm klasowy szlachty folwarcznej był główną przyczyną, że nie zdołano pociągnąć włościan do masowej walki zbrojnej, że powstanie nie „rozpaliło się w wojnę ludową", „nie zdołało zmobilizować ludu", co — zdaniem samego autora — „mogłoby przywieść do wytępienia wojsk rosyjskich w Królestwie i Litwie" (str. 452). Więc „zamęt", któryby sprowadził wojnę ludową w 1831 r., może byłby korzystniejszy od prowadzenia wojny regularnej przez nieudolnych i kontrrewolucyjnych generałów?

I w ostatniem poruszeniu rewolucyjnem 1905 i 1906 r. czyż to nie klasowy szlachecko-burżuazyjny interes, w swej trosce o możliwe klęski materyalne, powstrzymywał wszelkiemi siłami zmobilizowanie rewolucyjne ludu? Sam autor to przyznaje. „Mieliśmy — pisze — ostatnią scenę z Wesela Wyspiańskiego, odegraną przez społeczeństwo polskie: chłopi radziby się ruszyć, ale na inteligencyę naszło jakieś d z i w n e s p a n i e. Zgubiono złoty Róg: ideę powstaniową. Chochołem, który grał do bezcelowego kręcenia się w kółko, była narodowa demokracya, a raczej jej zawiązek Liga narodowa" (str. 529).

Punkt widzenia państwowy przeszkadza także autorowi ocenić należycie kwestyę narodowościową. Z zadowoleniem jednak przyznać należy, że nie wygłasza on tej nienawistnie jątrzącej po-

lityki, jaką się kieruje galicyjska narodowa demokracya w stosunku do Rusinów. Szczególne lekceważenie okazuje autor dla ruchu białoruskiego. „O żadnym narodzie białoruskim — powiada — nie można mówić, bo naród jest pojęciem politycznem, a żadnych własnych tradycyi nie posiadają Białorusini“ (str. 493). Pomijając, że naród nie jest tylko pojęciem politycznem, to czyż autor zapomniał, że Statut Litewski był pisany w języku białoruskim, że państwo litewskie od czasów Jagiełły było raczej białoruskiem, niż litewskiem?

Hołdowanie państwowości. wynoszenie interesu terytoryalnego ponad ludnościowy, uwidocznia się nawet w przypuszczeniach autora co do możliwych w przyszłości rozgraniczeń państwowych. Nie waha się on z odstąpieniem „dziedzicznych (moje podkreślenie) krajów niemiecko-słowiańskich Rzeszy niemieckiej“ (str. 572), a nawet uważa za możliwe, że i Czechy wejdą do jej składu.

Widoczny pospiech, z jakim autor pisał swoje dzieło, ujemnie na niem się odbił: w pewnem chaotycznem, nierównomiernem, nieraz zbytecznem nagromadzeniu faktów, często zaniedbanym stylu i — niestety — licznych błędach drukarskich. Pomimo to wszystko, pomimo wytkniętej różnicy w poglądach, książka Studnickiego ma wiele stron dodatnich i zasługuje na upowszechnienie i przeczytanie przez wszystkich, którym losy własnego narodu nie są obojętne.

Dzieło Studnickiego jest właściwie historyą stosunków polsko-rosyjskich od najdawniejszych aż do ostatnich czasów, przeważnie jednak historyą porozbiorową, napisaną ze stanowiska publicystycznego, co wszakże wcale nie stanowi ujemnej w niem strony. Można ze szczegółami się nie zgadzać, lecz ogólny pogląd jest prawdziwy. Wielce dodatnią stroną tego dzieła jest to, że autor oświetla wrogą narodowi naszemu politykę rządu rosyjskiego, opierając się głównie na świadectwie samych dziejopisarzy rosyjskich i na faktach. które oni z tajnych archiwów rządowych wydobyli.

Krytyka polityki stronnictw, uznających państwowość rosyjską, jest bardzo trafną. Doskonale uwydatnia ona cechy ducha niewolniczego w całej akcyi stronnictwa narodowo-demokratycznego. Zupełnie zgadzamy się z autorem, że jedyną prawdziwą polityką narodu jest dążenie do niepodległości.

Również podzielamy zdanie autora, że nie wyrzekając się ostatecznego celu swych dążności, tymczasem łączenie naszych interesów z państwem austryackiem jest bardziej naturalne, aniżeli z państwem rosyjskiem, i najmniej dla nas niebezpieczne. Wprawdzie, autor w swych wywodach ma na widoku przedewszystkiem interesy państwowe. Lecz i ze stanowiska rewolucyjnego, narodowego, większa korzyść z łączenia się z państwem austryackiem da się usprawiedliwić. Szerzenie się i ugruntowywanie zasad rewolucyjnych, demokratycznych, powszechnej wolności i równości odbywało się i odbywa nieustannie, z pewnemi czasowemi przerwami i zwrotami wstecz, w całej Europie — i nie tylko w Europie — Austrya i Prusy już od 1848 r. weszły — rzec można — w okres rewolucyjny. Skutkiem klęsk, poniesionych w wojnie z państwem pruskiem i z tego powodu zmuszona bardziej rachować się ze swemi narodami, Austrya przestała być państwem jednolitem, uznała prawowitość zasady narodowościowej i w ewolucyi demokratycznej posunęła się dalej od państwa pruskiego. Rosya zaś zatrzymała się u progu rewolucyjnego i ewolucya demokratyczna europejska, łącząca zasadę równości z wolnością, uczyniła w niej bardzo małe jeszcze postępy. Oczywista rzecz, że korzystniej łączyć się z tem, co jest bliższe do przyszłościowego ustroju, aniżeli z tem, co skazane jest przez historyę na zagładę.

Pragnąc odzyskać niepodległość, trzeba rachować przedewszystkiem na samych siebie. — Pracuj nieboże, a Bóg ci dopomoże — powiada ludowe przysłowie. Nikczemny to naród, co skarżąc się i jęcząc w niewoli, wyrzeka się zbrojnego powstania. Trzeba wciąż je mieć w swych myślach, pilnie przygotowywać się do niego, aby w chwili odpowiedniej porwać się masowo, zerwać kajdany sromotne i zetrzeć ze swego czoła hańbiące piętno niewolników. Przyklaskujemy więc z całego serca słowom autora, któremi kończy on swe dzieło: „Kujcie broń! Kujcie broń!“ to jest, twórzcie siły militarne, siłę czynną, nosicielkę ducha ofiary, podstawę podźwignięcia się z upadku“.

DR. JÓZEF MOSKWA.

LUD POLSKI.

I. Lud polski żołnierz to doskonały o twardych rękach, zahartowany na wszystkie niewygody — żołnierz pierwszej jakości, odważny i przedsiębiorczy — jak go przedstawia historya mocarstw zaborczych.

Zdobywca ojczystego zagona — latami wygnania — kazamat fabrycznych — podziemi kopalnianych.

Placówka niezdobyta — wśród morza zalewu pruskiego. Ofiarnik, składający na ołtarzu swe dzieci w obronie języka.

Za morzem hen na drugiej półkuli i w starym świecie, wśród Niemców, Duńczyków, Szwedów i Bóg wie wśród jakich narodów — żrąca tęsknota otwiera przed nim wielką tajemnicę miłości narodu — kraju — i tajemnicę wolnej Polski.

Historya ruchu ludowego w Galicyi zna postacie, co w czasach najgorętszej walki o zdobycie praw politycznych — swobody obywatelskiej, umiały stawić czoło najcięższym prześladowaniom, ciągnącym się lata całe, zadawanym przez sklerykalizowane

otoczenie a często przez członków najbliższej rodziny.

Marmur to szlachetny — z którego wykuć można najpiękniejsze posągi.

Ręki tylko do tego zdolnej potrzeba.

Niestety w dzisiejszych czasach — gdy pieśń o czynie coraz głośniej dźwięczeć zaczyna — dziś tej ręki brak.

II. A znaleść się powinna w czasach, gdy setki młodzieży wiejskiej uczęszcza do szkół średnich i uniwersytetów, gdy rok rocznie synowie włościańscy zasilają coraz więcej szeregi inteligencyi. Rozdrobnienie coraz większe gruntów włościańskich — nie pozwala rolnikowi posyłać synów do szkół w tym celu, by na wieś wracali. Najczęściej chce w ten sposób uchronić swą ziemię przed podziałem. Syn wysłany do szkół ma zostać księdzem, urzędnikiem, adwokatem, lekarzem — lecz nigdy wykształconym rolnikiem. Umęczonego kasarnianą nauką, źle odżywionego chłopaka, nie wabi w czasie wakacyjnym ciężka praca na roli. Wywiera nań zresztą wpływ otoczenie kolegów, życie miejskie, przebywanie z grekami i rzymianami, wpływ księży katechetów, profesorów, życie w murach internatów. Chata wiejska, otoczenie wiejskie nudzi go i nuży. Przepaść pomiędzy ojcem i synem, bratem a rodzeństwem wzrasta z roku na rok.

Zabiegi ojca o osiągnięcie korzyści z chwilą otrzymania przez syna stanowiska, swary przy dziale spuścizny wywierają wrażenie niesłychanego egoizmu i powodują dalsze zniechęcenie do rodziny, do wsi. Idą w zapomnienie ofiary, jakich wymagało skąpe bo skąpe utrzymanie w szkołach. Pękają serdeczne nici. Czasem w walce wyborczej wyrwie się okrzyk: „I jam syn chłopski“, lecz okrzyk ten nieszczery, entuzyazmu nie budzi. A więc większość tych (bo są wyjątki), co najlepiej znać winna klucz do serca chłopskiego — klucza tego nie posiada.

Idealiści z miast pochodzący, o ile szczęśliwy los nie rzuci ich wśród ludu choć na czas krótki, patrzą się na lud przez szkła sielankowego sentymentu lub skrajnego pesymizmu. Takim materyałem psychologicznym uzbrojeni idą na wieś od czasu do czasu zdobywać duszę chłopską i wracają rozżaleni na jej nieszczerość, na jej nieprzestępność dla wszelkich haseł.

Twarde warunki walki o byt, zdanie wyłącznie na własne siły, zawisłość chłopa od sił przyrody i ciągłe z nią obcowanie — robi chłopa realistą, dającym posłuch najchętniej tym, co znają twardą jego dolę, ale nie tę książkową i wskazują mu możliwość zmian bez niemożliwych w jego oczach przewrotów. Na dnie duszy chłopskiej kryje się jednak wrażliwość na czyny piękne i szlachetne a przedewszystkiem bezinteresowne. Przewodnik musi o to się starać, by go chłop nigdy nie wyłapał na nieświadomości tych rzeczy, o których mu z patosem opowiada, a które chłopu są znane, lub na faktach zmyślonych.

Lud nie ma dziś jeszcze wiary w mądrość panów z miasta. Wina leży w niedostatecznym przygotowaniu w pierwszej linii t. zw. fachowych referentów, wysyłanych przez rozmaite instytucye nieraz w bardzo pięknych celach. Głównym błędem jest, iż referenci ci mają wykładać we wszystkich powiatach kraju. Rozmaitym rodzajom gleby i uprawy nieraz wykład nie odpowiada a najczęściej już ośmieszają prelegenta wobec słuchaczy i dobijają zalecane przez niego próby. Próba czy to zmiany uprawy roli, narzędzi, nasion, wykonana bez ciągłej a troskliwej opieki doświadczonego prawdziwie człowieka, najczęściej na wsi zawodzi. Nieszczęśliwy „probant“ staje się przedmiotem szyderstw całej wsi a następstwem tego jest niewiara w dobre chęci, w umiejętność panów z miasta, w ślad za tem idzie hasło, iż tylko chłop chłopu poradzić umie, wytwarza się kastowość chłopska i odcięcie od reszty społeczeństwa.

Tu i ówdzie inteligent, który dwa, trzy lub sześć lat starał się dla chłopa coś zrobić — sobie go ująć, przy najbliższych wyborach zgłasza swą kandydaturę; gdy przechodzi, w Wiedniu o wyborcach zapomina, gdy pada, rozżalony na niewdzięczność chamów — od dalszej pracy się usuwa.

Niektórzy działacze idą z obawą na wieś, przesadną uprzejmością, doborem słów dla chłopa niezrozumiałych lub czasem obrzydliwą gwarą starają się zdobyć serce chłopskie. Chłop widząc, iż pan jest grzeczny, chce grzecznością zapłacić. Wszystkiemu potakuje, osobę prelegenta pod niebiosa podnosi — w zasadzie robi swoje. Czasem odgrywa tu rolę bojaźń przed szczerością, która się chłopu nieraz źle opłaciła.

Podnosi się niesłuszny krzyk: „Nasz chłop jest nieszczerym, podstępnym, fałszywym“. A obchody narodowe jakąż rolę odgrywają? Minimalną. Obchody narodowe noszą na sobie niestety do dziś dnia wybitną cechę t. zw. wesel krakowskich. Inicyatorzy kładą największy nacisk na banderye, strzały moździerzowe, uroczyste nabożeństwa, ugaszczanie kochanego ludku. Lud zwraca uwagę na postrojonych Jaśków, Staszków, na muzykę, jednem słowem na efekt teatralny. Treść wewnętrzna, dobre, uczciwe zamiary inicyatorów idą na marne. Znaczenie chwili historycznej ginie bez dźwięku głębszego.

Książek pisanych dla ludu, któreby czytał z zajęciem jest bardzo mało.

Coraz mniej. Najlepszym dowodem sztuki ludowe.

III. Trzeba zdać sobie jasno sprawę, iż dusza ludowa, choć w głębi jednolita, ma grube pokłady lokalne. Nietylko powiat od powiatu, wieś od wsi nieraz głęboko się różni. Nietylko stosunki ekonomiczne, emigracya, jej rodzaj i miejsce odbycia, wpływ nauczyciela, księdza, żywsze lub słabsze zajęcie się polityką, zniechęcenie i zawód do przywódców, wszystko to wybija rysy na duszy chłopskiej. Runy te trzeba nauczyć się odczytywać. Kto to potrafi? Ten, co lata spędza w danej okolicy, lata zbiera doświadczenia psychologiczne a przedewszystkiem z chłopem się zżyć i jego zaufanie zdobyć potrafi, kogo chłop mając na oku może kontrolować, wszystkie zarzuty sprawdzić, wszystkie swe bole powierzyć.

Coraz rozgłośniej dźwięczy pieśń o czynie.

Jednym się śnią hufce bojowe, krwawe pobojowiska, łopot sztandarów.

Innym mury katorgi blade drzewo szubienic.

Czekają na was placówki bojowe, czeka kazamata i szpiegów twarze, którzy nietylko zechcą wiedzieć, co myślicie, lecz czem się wasza powłoka odżywia. Czekają lata zmagań, podejrzeń, oszczerstw, lecz czeka i pole chwały, dusza chłopska. Idźcie do miast i miasteczek i z nich jak z okopów zamkowych róbcie podjazdy dla schwytania duszy chłopskiej. Idźcie z wiarą silną, cierpliwością rozłożoną na lata, Idźcie bez pożądań zaszczytów a spełnicie czyn. Czyn najpiękniejszy.

Stworzycie armię złożoną z twardych rąk ludzi zahartowanych na wszystkie niewygody, z żołnierza pierwszej jakości, o którym wspomina historya rozmaitych pułków austryackich, pruskich i ruskich.

S. AUERBACH.

REWOLUCYA LIZBOŃSKA.

I. Niemal nazajutrz po nagłym i oszołomiającym wybuchu rewolucyi w Portugalii, jak grom z nieba uderzyły w nas następujące wieści: macochiada, która była dla nas tak straszną niespodzianką że sparaliżowała na chwilę naszą zdolność krytycznego myślenia, albowiem usiłowano dopatrzyć się w niej „nieszczęścia“ narodowego; wybuch strajku kolejowego w Paryżu, który w ciągu kilkunastu godzin rozszerzył się niemal na całą Francyę i zdawał się być dla niej groźnym prognostykiem strajku powszechnego; wreszcie skandaliczny fakt mistycznej ucieczki Lwa Tołstoja z Jasnej Polany, która była ostatnim wielkim odruchem przedśmiertnym Wielkiego Człowieka, te oto kilka faktów, że pominę inne, które nosiły piętno tak wyraźnej niesymptomatyczności i które wprawiły w zdumienie najbardziej nawet przewidujące umysły, sprawiły, że nad rewolucyą lizbońską, będącą jednym z najciekawszych ewenementów znaczenia dziejowego, zasługującym na specyalną analizę i specyalne studya socyologiczne, przeszliśmy prawie że po kronikarskich jeno wzmiankach, do porządku dziennego.

Pozwalam sobie tedy być zdania, że źródłowy, objektywny i niejako syntetyczny — acz nad wyraz pobieżny — szkic, ostatnim w Portugalii wypadkom poświęcony, będzie obecnie na czasie. I to tembardziej — bo Portugalia jest dzisiaj znowu przedtym żywych debatów i roztrząsań, tym razem szczególnie w obozach reakcyi i marazmu, w których interesach leży, ażeby nową republikę per fas et nefas w oczach nieświadomego ludu zdyskredytować, zniesławić, oszkalować, jak zresztą wszystko, co jest demokratyczne, wolnościowe, przykładne, szlachetne, życiotwórcze, światłodajne — i co nie jest nizkiem, podłem, interesownem, barbarzyńskiem, despotycznem, kannibalistycznem, patryarchalnem, cezarystycznem.

Skorzystano więc przedewszystkiem ze strajku kolejowego, który przed kilku tygodniami miał miejsce w Portugali., aby ją ogłosić, według starej formuły, za „państwo demoralizacyi i anarchii“. Tymczasem jednak ów strajk był wspaniałym dowodem harmonii i kointeligencyi, które się zawiązały pomiędzy portugalskim ludem a republikańskim rządem i które — zaimponowały światu, co właśnie wywołało tyle gniewu i nienawiści na szpaltach prasy kontrrewolucyjnej. Podczas owego strajku z jednej strony rząd nie uciekł się do najmniejszej akcyi represyjnej, a z drugiej strajkujący kolejarze, majac całkowicie w swojem ręku wszystkie dworce, pociągi, kancelarye kolejowe, aparaty telefoniczne, telegraficzne, setki wagonów naładowanych towarem i t. p. nie przyczynili towarzystwom kolejowym ani za susa straty. Przeciwnie, całości utenzylii strzegli, jakby swojej własnej, porządek utrzymywali wzorowy, karność panowała bezwzględna, spokój i wzajemny szacunek nie były ani przez chwilę naruszone — i epilog strajku był też jednym z najpiękniejszych w historyi walki pracy z kapitałem.

Skorzystano następnie z nieprawdopodobnej zresztą akcyi pretendentów do tronu portugalskiego, z której pisma rojalistyczne, zwłaszcza francuskie, niemieckie i hiszpańskie zrobiły „straszaka“, którą usiłowano zaniepokoić młody rząd republikański, pomnożyć jego kłopoty, wyprowadzić go z równowagi i tem samem wzbudzić ku niemu nieufność ludu; prowokatorska sztuczka nie udała się jednak i humbug ten jeszcze bardziej mocnemi więzy sympatyi i zaufania złączył lud portugalski z obecnym rządem. Ażeby jednak odebrać wszelki kredyt pogłoskom o rzekomej „chmurze kontrrewolucyjnej“, która jakoby zawisła na horyzoncie młodej republiki, portugalski minister spraw zagranicznych, p. Bernardino Machado, rozesłał do mocarstw oficyalną notę zapewniającą że „w Portugalii panuje niczem nienaruszony spokój“ i obalająca „fałszywe wieści rozsiewane w interesach reakcyi przez ludzi złej woli“. Niezależnie od tego, tenże p. Bernardino Machado zwołał w ubiegłą niedzielę, dnia 5. lutego r. b. wszystkich obecnych w Lizbonie korespondentów pism zagranicznych i wygłosił przed nimi mowę, którą w lapidarnem streszczeniu przytaczam:

Reakcya międzynarodowa — mówił portugalski minister spraw zagranicznych — dobrze znana od epoki dyktatury frankistów, którą energicznie popierała, jest na całym świecie wrogiem wolności i wszędzie pierwsze swe kroki kieruje przeciw rządom liberalnym, które wszelkiego rodzaju kalumniami zdyskredytować usiłuje, zarzucając im dążenie do specyficznie wynalezionego: Lloyd Georgisme'u*) co owym rządom raczej pochlebiać powinno. Życie narodowe — mówił dalej minister — z każdym dniem intenzywniejsze, dzienniki republikańskie mnożą się, zyskując powszechną poczytność, wzbudzają ku sobie sympatyę ludu i propagują dzieło narodowej organizacyi wychowawczej, budowanej na podstawach demokratycznych i wolnościowych. Pogłoski, jakoby uniwersytet lizboński był nawskroś przesiąknięty dzikiem sekciarstwem monarchicznem, zostają obalone same przez się tym znamiennym faktem, że uniwersytet niedawno wybrał na dziekana uczciwego liberała, profesora Daniela de Mattos. Instytucye społeczne, oświatowe, kulturalne opierają się na wszystkich siłach żywotnych ludu. Nawet byli monarchiści ofiarowują sami swoje usługi obecnemu rządowi i przyczyniają się do rozwoju i udoskonalenia współczesnego trybu życia. Zarzuty o prześladowaniu niewolników są również świadomie fałszywe. Towarzystwa: Centrum kolonialne i Portugalska Liga antyniewolnicza zajęły się sprawą niewolnictwa i oddają jej duże usługi. Rząd — kończył p. Machado — wierny swojej pierwotnej deklaracyi, opiekuje się krajowcami kolonii portugalskich, okazuje im poparcie i dąży do zabezpieczenia im możliwie szerokiej wolności.

Taka jest obecna sytuacya w Portugalii. Przypuszczam, że tych kilka zdań powinno wystarczyć, ażebyśmy pogłoski o „chmurze kontrrewolucyjnej“ przyjmowali jedynie z uśmiechem politowania dla naiwnych krzewicieli tych pogłosek na ustach.

Do bilansu czynów pozytywnych młodego rządu republikańskiego dodam jeszcze jedną pozycyę, nad którą proszę czytelników, by się dobrze zastanowić raczyli. Oto minister spraw wewnętrznych, dr. Antonio José d' Almeida, opracował i przedłożył radzie do akceptacyi projekt zniesienia prostytucyi**). Jesteśmy tedy w przededniu nowego dziejowego zjawiska — że młoda, pięć miesięcy

---

*) Lloyd George, angielski minister skarbu, odznaczył się tem, że przeprowadził w parlamencie angielskim projekt, t. zw. postępowego podatku dochowego, który ciężar podatkowy składa na barki warstw materyalnie uprzywilejowanych zamiast jak dotychczas, na barki wyłącznie prawie ludu pracującego. Przyp. S. A.

**) Portugalia stała się obecnie państwem anarchii i demoralizacyi!“ zatrąbili niby z jednego rogu chunchuzi europejscy...

istnienia licząca republika portugalska zniesie u siebie plagę, która obok wojny, alkoholizmu i tuberkulozy strasznem, czarnem od brudu i czerwonem od wstydu i hańby piętnem widnieje na słońcu naszej cywilizacyi.

Ażeby jednak zrozumieć, dlaczego Portugalia stała się obecnie tak życiotwórczą i tyle światłodajną, musimy przedtem wiedzieć dlaczego stała się republiką i jakim sposobem stała się republiką.

W nadziei, że dokładne poznanie przyczyn tak gigantycznego przełomu, który ów naród ze stanu kompletnego upośledzenia postawił odrazu na stopień mocnej wytrzymałości ekonomicznej i kulturalnej i pozwolił rozerwać za jednym zamachem cały splot łańcuchów, krępujących możność swobodnego rozwoju ducha narodowego i całym swoim ciężarem przytłaczających płuca, pragnące oddychać atmosferą wolności i sprawiedliwości, w nadziei, że to poznanie nie będzie dla nas całkiem obojętnem, przyjrzymy się dziejom rewolucyi lizbońskiej.

* * *

Najsamprzód zaznaczyć muszę, że przewrót październikowy nie był bynajmniej miłą dla jednych a niemiłą dla innych niespodzianką; — przeciwnie: bardziej wtajemniczeni w polityczne i socyalne sprawy półwyspu Iberyjskiego politycy, katastrofę portugalską przewidywali.

Oto naprz. w kwietniowym zeszycie poważnego miesięcznika paryskiego Les Documents du Progrés, Portugalczyk, Angelo Vaz, pisał: „Nic nie stanie na przeszkodzie Portugalii do szukania i znalezienia swego zadośćuczynienia moralnego i materyalnego w przeobrażenlu się w republikę“.

Dzisiaj wiemy już, że horoskopy p. Angelo Vaz sprawdziły się niewątpliwie prędzej, aniżeli sam się tego był spodziewał.

Jakie tedy były przyczyny, które posiadały w sobie tyle gigantycznych sił, by nagle, bo w ciągu kilkudziesięciu zaledwie godzin, sprowadzić tak kolosalnego znaczenia dziejowego kataklizm?

Grały w tym kryzysie rolę przyczyny najrozmaitsze i silnie skomplikowanej natury. Wszakże nietrudno jest wyliczyć najważniejsze: polityczne, socyalne, religijne, ekonomiczne i moralne.

Nad temi też, w miarę rozporzadzanego w piśmie peryodycznem miejsca, się zatrzymam.

(Dok. nast.).

Paryż, w lutym 1911 r.

G. DANIŁOWSKI.

MARYA MAGDALENA.

(FRAGMENTY POWIEŚCI APOKRYFICZNEJ). 5)

Widząc, jak rośnie koło wyznawców Pomazańca, jak sam Mistrz poczyna sobie coraz śmielej, jak wpływ i potęga jego się wzmaga, jak się pomnaża w mądrości i łasce, cudotwórcą słynie, sądzi, rozgrzesza i karze — wprost włada — Judasz pierwszy począł przypuszczać, iż może to być ten przepowiadany, więcej niż prorok, którego poniżony lud Izraela wzywał coraz namiętniej, mąż pomsty i sądu, który weźmie władzę i cześć, by mu wszystkie narody i języki służyły.

Olśniony, prawie przerażony tą myślą odbiegł, by ochłonąć, od orszaku Jezusa i przybył do Jeruzalem, gdzie dawno nie był.

Rozumiał, że podbój Galilei nic nie znaczy, o ile Judea i stolica jej Jerozolima, świątynia całego narodu, twierdza kapłaństwa, nie podda się władzy Chrystusa. Tu tedy postanowił grunt zbadać i rozwinął gorączkową działalność, ale przekonał się wkrótce, że o Mistrzu wiedzą tu bardzo niewiele, nic prawie prócz jakichś głuchych pogłosek, traktowanych z zupełnem lekceważeniem jak tysiące innych plotek, rozsiewanych obficie po ruchliwem, pełnem znoszonych z rozmaitych krańców świata nowin, tłumnem i gadatliwem mieście. Wobec takiego stanu rzeczy postanowił działać ostrożnie i opowiadaniom swoim o Jezusie nadawał ton stosowny do usposobienia słuchaczy: to żarliwej wiary, to nieufnego sceptycyzmu, ukrywając starannie swój osobisty związek z osobą rabiego.

Skonfiskowano.

Skonfiskowano.

Judasz kilkakrotnie wspinał się na górę Oliwną i w pół drogi zawracał. Rozumiał dokładnie, że zastanie tam nie uległą mu dawną dziewczynę, ale dumną, tonącą w zbytku, pyszną, kapryśną i wybredną heterę, która go może wydrwić, jak psa wypędzić, lub w przystępie litości wysłać przez ostatnią służebnę jako żebrakowi miskę strawy i parę oboli.

— Z czem przyjdę? — szeptał wstrząsając wielką głową. — Co powiem? — i nagle, jak olśniony przypomnieniem o osobie Jezusa z ufną, niezrozumiałą dla siebie radością, pod wrażeniem jak gdyby objawienia postanowił pójść w imię jego i z wieścią o nim.

Tak nastrojony stanął w Betanii, życzliwie przyjęty przez bogobojnych członków rodziny.

Z właściwą sobie wrażliwością dał się tak dalece porwać własnym opowiadaniom, że zjawienie się Maryi wzruszyło go mniej silnie, niż się spodziewał, nie stracił ani wątku, ani panowania nad sobą i to poczucie mocy dodało mu bodźca do zuchwałej opozycyi, jakiej się dopuścił w stosunku do wielce poważanego Szymona.

Z chwilowego pomieszania się Maryi, poznał, iż nie jest dla niej jeszcze niczem. Błyskawicznemi spojrzeniami usiłował jej myśli przeniknąć, ale widział jedynie pyszne, niemal czerwone w słońcu włosy, leniwym spokojem tchnące białoróżowe oblicze, długie spuszczone rzęsy i wspaniałe, rozkwitłe kształty rysujące się kusząco w fałdach wiotkiej sukni. Wysunięta nieco drobna stopka, lśniąca jak grudka śniegu na murawie, pochłonęła na chwilę całą uwagę Judasza.

Szybkie fale nerwowych drgnień przebiegły mu po twarzy, rzuciło się jak ukłute ramię, przymknął martwo powieki i wstrząsnął się jakby dotkliwym zimnem przejęty.

Obecni przyjęli to za objaw mistycznego wzruszenia, Marya jednak nie dała się zwieść, cofnęła szybko stopę, podniosła się i nucąc półgłosem jakąś taneczną, hulaszczą, nie licującą zupełnie z ogólnym nastrojem piosenkę, rzutkim, elastycznym krokiem, kołysząc się zlekka w stanie, oddalała się, ścigana zdziwionemi spojrzeniami, i smukła jak kolumna znikła w podsieniach. Zgorszona zachowaniem się siostry Marta, pragnąc zatrzeć wrażenie, zarządziła posiłek, lecz ani chleb biały, ani miód, ani łagiew wina nie były wstanie przełamać pieczęci milczenia zawściągniętych warg.

Surowa powaga Szymona, marzycielskie zamyślenie się Łazarza, udzieliło się Marcie; Judasz jadł jakby w roztargnieniu, zapatrując się chwilami to w przejrzystą dal, to w wibrujące na żwirze plamy słońca i drżące cienie liści.

Rozmyślał, jak ma rozumieć zachowanie się Maryi, odeszła ale nie gniewna, przeciwnie jakby wabiąca ze swawolną na ustach piosenką. Komuż śpiewała? — przecież nie cnocie Marty, nie schorzałości Łazarza, nie sędziwości Szymona?

Serce się jego podniosło, wzruszyły silnie trzewia i wpatrując się zakrulonemi oczyma w okap płaskiego dachu, zakrywającego jej komnaty, szepnął:

— Muszę... i wejdę pod noc!...

C. d. n.



KACERZ.

POGLĄDY WYCHOWAWCZE A SPOŁECZEŃSTWO.

„a kto chce być twórcą w dobrem i złem, musi być wprzód niszczycielem i kruszyć wartości“.

Nietzsche-Zaratustra.

I.

Słusznym mógłby się wydać pogląd, że istniejące typy szkół są mniej lub więcej doskonałą krystalizacyą poglądów wychowawczych wypracowanych przez społeczeństwo, a raczej przez szereg twórczych na tem polu jednostek. Możnaby również umotywować psychologicznie i zrozumieć nurtujące w społeczeństwie niezadowolenie ze stosunków istniejących na niwie publicznego wychowania, jako ferment płynący z wiecznej ludzkiej tęsknoty za ideałem, zestawionej z niedoskonałą tego ideału realizacyą obecną, naturalnem prawem spiętrzoną jako zawada i przeszkoda na drodze rozwoju, którą usunie przed się w zwycięzkim spokoju krocząca siła życia, kująca swoją moc w wieczystej walce.

Obserwując jednak uważniej stosunek ogółu do szkoły, spostrzegamy, że szkoła przeciwstawia się ogółowi jako coś wręcz obcego, tajemniczo-zagadkowego, co budzi tylko pewne przerażenie, nieufność i mniej lub więcej uświadomioną niechęć. Są to zjawiska, analogiczne do tych, jakie występują powszechnie, gdy stosunek człowieka do narzuconego autorytetu lub dogmatu poczyna przechodzić ze stadyum bezkrytycznej wiary i poddania się w fazę wątpienia i niepewności; nie pojawiają się zaś nigdy, gdy człowiek niesiony falą rozwoju przeciwstawia się swoim własnym tworom doby minionej, z któremi mimo wszystko, wiążą go pewne nici serdeczne, których się nie lęka, podobnie jak mąż dojrzały nie lęka się przezwyciężonych błędów młodości.

Analizując z drugiej strony zarzuty stawiane szkole dzisiejszej i idee, w myśl których się je stawia, zmuszeni będziemy dojść do smutnego przeświadczenia, że są one bardzo powierzchowne i nie docierają do jądra rzeczy, że poza nielicznem gronem pedagogów i ludzi społecznie uświadomionych nie kursują u nas żadne ściślej określone idee wychowawcze.

Tylko ogólne niezadowolenie świadczy o tem, że stoją przed nami całe szeregi nierozwiązanych problemów — nadzwyczaj rzadko zobaczyć można napięcie myśli i woli skierowane do rozwiązania którego z tych ogromnie żywotnych, dla nas szczególnie, z a g a d n i e ń.

Ten rozpaczliwy stan rzeczy musi mieć swoje źródło — spróbujmy doń dotrzeć. Rozważając stosunki obecnie panujące i historyczny ich proces musimy dojść do przeświadczenia, że szkoła nasza nie jest instytucyą, którąby się drogą naturalnego rozwoju wytworzyła w kontakcie ze zmieniającemi się i komplikującemi warunkami naszego społecznego życia, lecz od pierwocin swego istnienia wśród narodu stanęła przed nim jako instytucya do pewnej miary skrystalizowana o własnych tajemnych celach i własnej, wśród obcych nam warunków wyrosłej, metodzie działania. Gdybyśmy chcieli twierdzić, że wrogi stosunek społeczeństwa do szkoły wytworzył się z chwilą, kiedy zaborcze rządy narzuciły nam instytucyę ich własnym celom służącą, rozumowalibyśmy nie dość głęboko i przy znanej niekonsekwencyi naszej opinii publicznej trzebaby chyba podziwiać bajeczny instynkt samozachowawczy, nigdzie indziej nie dający się wykazać w tym stopniu.

Musimy uprzytomnić sobie, że już na przełomie X. i XI. w., a więc w zaraniu naszych dziejów, wraz z wkraczającym do Polski katolicymem, przybywają ówczesne na obczyźnie zorganizowane typy szkół, kosmopolityczne, uwzględniające jedynie interes papiestwa i jego światowładczym aspiracyom służyć mające.

Kościół katolicki genialnie zrozumiał, jaką nieprzepartą potęgą jest monopol publicznego wychowania i nauczania, zazdrośnie też od początku strzegł tej podwaliny swej władzy i wpływu. Nauce więc i wychowaniu postawiony został cel i ideał religijny, nie obywatelski i społeczny, a że kler dzierżąc w swem ręku niepodzielne panowanie w szkole, stał się absolutnym rządcą dusz i umysłów, umiał uformować w ten sposób opinię publiczną, że podsunął jej swoje cele za jej własne, że uśpił jej czujność i zdobył zaufanie bez zastrzeżeń, rozrosła się też w trzewiach narodu obca potęga, hamująca rozrost jego i siłę i ustępująca wtedy dopiero, kiedy wezbrana fala zdrowych i uświadamiających się instynktów dłużej powstrzymać się nie dała.

Trudno mi tutaj poruszać szerzej problem stosunku wartości etycznych do poglądów wychowawczych — pozostawiam go też do rozważenia czytelnikowi, potrącę tylko sam fakt istnienia tej zależności. Dążność do wcielania w życie zasad naszej etyki musi w pierwszym rzędzie zaczepić o młodzież, o szkołę, a tem samem wpływać na tworzenie się poglądów pedagogicznych. Wobec tego pamiętać musimy, że twórcą, krzewicielem, czujnym bezsennie stróżem i cenzorem etycznych wartości był u nas przez długie wieki i w znacznej mierze do dziś dnia jest klerykalizm katolicki.

Narzucił je społeczeństwu w formie dogmatów i przykazań, popartych całą grozą sądu ostatecznego i wieczystej kary piekielnej, a przez to nie dopuścił do wypracowania własnym trudem wartości żywych i życie krzewiących. Występując jako nieomylny namiestnik Boga na ziemi — całą problematyczną bardzo odpowiedzialność brał na swoje barki, wszczepiając i krzewiąc tą drogą lenistwo, bezmyślność i trwogę przed wszystkiem, za co trzeba odpowiedzialność ponosić. W konsekwencyi tego stał się monopol wychowawczy kościoła niepodlegającym krytyce dogmatem.

Dopiero żywy ruch umysłów w XV. i XVI. stuleciu znalazł oddźwięk u nas i to tak nadspodziewanie powszechny, że cała ówczesna myśląca Polska prawie nagle znalazła się w obozie reformacyi.

Kler zaskoczony został znienacka, a niezdolny do walki wyczuwał zbliżający się już kres swej potęgi, gdy Stanisław Hozyusz, kardynał biskup warmiński, poznawszy na soborze trydenckim Jezuitów, sprowadził ich do Polski i wszelkie siły wytężył, by stworzyć dla nich placówki na terenie wychowania młodzieży. „Milites Jesu“ wyspecyalizowali się w tej dziedzinie, pojmując jej znaczenie dla swego ostatecznego celu t. j. podtrzymania i rozkrzewiania walącej się w gruzy potęgi papiestwa, zasiali oni w Polsce krzewiące się szkolnictwo dyssydenckie, nie groźne jednak, gdyż również religijnym celom służyć mające, a posługujące się tą samą metodą naukową i wychowawczą, nie rozporządzające zaś taką potęgą materyalnych środków, ani tak silne jednolitością i żelazną konsekwencyą jak jezuickie.

Padło też ono w niespełna półwiekowej walce i monopol publicznego wychowania i nauczania ostał się w ręku kościoła niepodzielnie, aż do epoki rozbiorów i współczesnej pierwszemu z nich kasaty zakonu Jezuitów.

„Niegodziwy zamiar Jezuitów, zbłaźnienia i spodlenia narodu“*) został w całej rozciągłości przeprowadzony.

II.

Jasne chwile odrodzeńczych porywów z doby komisyi edukacyjnej zawdzięczamy naszej masoneryi, nie znalazły jednak one odźwięku w wychowanem przez Jezuitów społeczeństwie i rozbiły się o wrogie nam dążenia zaborców. Czyż nie dość jawnym dowodem sojuszu zawartego między zaborczymi rządami, a władcami dusz w narodzie, są fakta zatrzymania zakonu przez Rosyę i rozkaz króla pruskiego, zabraniający publikacyi kasującego zakon Jezuitów, papieskiego brewe? Przyszły zaraz potem czasy zamętu i niepewności, wojenne czasy napoleońskie, ktore oderwały najdzielniejszych od pracy nad podwaliną bytu narodowego w kraju.

Na pierwszy plan wysunęła się polityka, a choć jej cele były wielkie i szlachetne, to jednak raczej hamowała one rozwojowe przemiany, którym naród podlegał i przeszkadzała rewizyi wartości, walorem tradycyi silnych i głęboko zakorzenionych.

Wybitnym momentem psychologicznym wszystkich wysuwających się wonczas na czoło życia publicznego jednostek najtęższych, najszlachetniejszych w narodzie, jest rozdwojenie duchowe i z niego płynąca niemoc. Genialnie odgadł Wyspiański Mickiewicza w „Legionie“; owa walka pogańskich Bogów w kopule katedry św. Piotra o jego duszę, korzącą się przed papieżem nie z wewnętrznego pędu, ale z nakazu niemocnej woli — to klucz do rozwiązania tajemnic dusznych ówczesnych wielkich ludzi. Ferment, który się w nich przejawił, docierał do coraz szerszych mas i dzisiaj jest zasadniczym rysem psychiki naszego społeczeństwa.

Wzmaga się i szerzy odczuwanie konwencyonalnych kłamstw, nie może jednak doprowadzić do uświadomienia, gdzie leży gordyjski węzeł niemocy naszego życia, bo poza nami i wśród nas istnieją silne tą naszą biernością żywioły którym interes nakazuje piętrzyć narodowi przeszkody na drodze duchowego i związanego z niem ściśle materyalnego wyzwolenia.

Niema instytucyi społeczno-wychowawczych, naszym interesom służących i głęboko uzasadnioną jest nieufność społeczeństwa do istniejących, obcych nam duchem i celem, demoralizujących i paczących młode pokolenia od zarania życia.

Wobec takiego stanu rzeczy, nie można się dziwić, że społeczeństwo odwykło od przyjmowania na swe barki odpowiedzialności za wychowanie publiczne młodzieży, zawsze znalazł się ktoś, kto je w tym trudzie skwapliwie wyręczał i wreszcie przyzwyczaił do roli biernego widza, zatruł i zabił przyrodzoną moralność, której naczelnym nakazem jest troska o przyszłość młodego pokolenia.

Nie dotarły też do nas fluktuacye idei, przenikające zachodnie społeczeństwa, gdyż nasze nie przeżyło właściwie żadnych rewolucyjnych wstrząśnień do głębi — fale rewolucyjne dochodziły do nas już osłabione i działały zaledwie na powierzchnię.

Dopiero ostatnie wypadki w Królestwie wstrząsnęły nami silniej, w tej też dzielnicy rozpoczął się ruch na terenie szkolnictwa coraz bardziej świadomy, choć nie zwycięzki jeszcze. Łatwiejszym do wywołania był on tam niż u nas, bo szkoła rosyjska przeciwstawiała się grubiańsko społeczeństwu w swoich wyraźnych rusyfikacyjnych tendencyach, u nas zaś w Galicyi szkoła austryacka udaje z powodzeniem polską i dezorjentuje opinię; zresztą w Królestwie wywołało żywszy ruch szkolny rewolucyjne wstrząśnienie wszystkich dziedzin życia, z któremi sprawa szkolna w ścisłym pozostaje stosunku.

Łatwo da się ten związek wykazać na przykładach z historyi. Sprawa wychowania wydobywała się zawsze na powierzchnię wraz z całym szeregiem innych, gdy społeczeństwa w drgnieniach rewolucyjnych strząsały ze siebie gniotące je ciężary i rozkuwały kajdany. Etapy rozwoju problematów wychowawczych idą równocześnie z rozwojem i przemianą całokształtu warunków życiowych — zastój w tej dziedzinie wiąże się zawsze z ogólnym zastojem i reakcyą.

Publiczną jest tajemnicą niski etyczny poziom naszego społeczeństwa, choć bystrzejszemu oku nie umkną ogromnie radosne zapowiedzi lepszego jutra.

Konwencyonalne wartości etyczne coraz wyraźniej odsłaniają pustkę i czczość swej tresci istotnej, nie są już one więcej motorami życia, nie podnoszą go wzwyż, lecz wloką się za niem i jak wszelkie przeżytki są jedynie zawadą i ciężarem. Tęsknota za wyższą, czyściejszą i dotrzymującą kroku rozwojowi formą społecznego bytowania, krzewi się coraz bujniej i niepozwala plenić się niemocy i zwątpieniu, do których niestety nie braknie powodów.

Dokonują się jednak te przemiany niejako poniżej progu świadomości — powierzchnia przedstawia się beznadziejnie smutno.

Zadaniem szkoły jest pomóc w wypracowywaniu poglądu na świat młodego pokolenia. Dzisiejsza szkoła stara się narzucić gotowy, nieharmonijny, jednostronny, usiłujący pogodzić naukę z t. z. objawieniem, z urzędowem wyznaniem religijnem

Wychowawczem zadaniem szkoły jest podnoszenie etyczne wychowanków — szkoła zaś propaguje zmurszałe etyczne kategorye, które nie mogą porwać i zapalić młodzieży. System nagrody i kary przyjęty w całej rozciągłości z katolickiej etyki, jest ostatecznym nadal wyrazem pedagogicznej metody. Szkoła odrywa od życia, nie przygotowuje doń, a głosi hasło: „non scholae sed vitae discimus“ i usiłuje znaleść wiarę u wychowanków i rodziców, czujących dobrze kłamliwość tych pięknych słów.

Młodzież karmiona fałszem dojrzewa, staje się społeczeństwem, posyła swoje dzieci do tejże samej szkoły, bo inaczej trudno, inaczej trzebaby narazić się na walkę, a przecież bierność przelewa się we krwi szczepiona przez szeregi stuleci. Musi społeczność swoje dzieci powierzyć instytucyi, do której od młodości nienawistnie się odnosi, z którą żadna nić serdeczna jej nie wiąże. Taki stosunek jest wynikiem upodlenia, ale i tegoż upodlenia krzewicielem. Tworzy się błędne koło, które obraca się miażdżąc naszą tęsknotę do jaśniejszej doli i szerzy lęk i grozę, że tak zawsze być musi, że poza nami istnieje upiór, jakaś nieznana wraża potęga, krew naszą serdeczną złopiąca.

Jakże społeczeństwu stanąć na wyższym etycznym poziomie, gdy od lat dziecięcych trawi je zaraza? Czy można żądać od niego zrozumienia i odczucia wagi nowych idei wychowawczych, gdy ono nie przywykło nigdy do odpowiedzialności i do wysiłku myślowego w tej sferze zagadnień i twórczości, spodlone etyką bierności i pokory?

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

*) Łukaszewicz: Hist szkol. T. I. str. 195.

Ożywczy powiew nadziei wionął od zbratanych z nami niedolą ludów półwyspu pirenejskiego. Dola ich cięższą była poniekąd od naszej, ale powstały tam mocarne charaktery, które poczęły iść przebojem, kruszyć stare a kuć nowe wartości, a choć legły w walce nierównej, wzbudziły jednak prąd, mający przed sobą zwycięzkie jutro.

Ferment w dziedzinie szkolnictwa wzniecony przez tytaniczną postać Ferrera, wykazał już, że potrafi wydawać pozytywne rezultaty i zaciężył nad istniejącem szkolnictwem tamtejszem, przeciw któremu się zwracał, zdziałał też na razie wielką przemianę, bo zniewolił społeczeństwo do przemyślania problemów wychowawczych, wypracowywania i deklarowania przekonań.

Na sztandarze tego ruchu widniało jasno i śmiało sformułowane hasło: P r z e z w o l n ą s z k o ł ę d o w o l n o ś c i.

WYBORY DO RADY MIASTA.

Ostatni tydzień miesiąca lutego był we Lwowie, mimo wichry zimne i szarugę, niezwyczajnie gorący. Odważna opozycya Komitetu Reformy — dokonała swego. Wybory do Rady miasta zwykle poruszają tylko nieliczną garść wyborców prawnych i stałą armię hyen wyborczych; teraz poruszyły one całe miasto. Usiłowania były czynione z pewnej strony, by ubić rzecz całą ot tak, *more antiquo*, przez prosty trust komitetów wyborczych, które, zgodziwszy się na jeden klucz podziału 53 miejsc radzieckich pomiędzy siebie, podyktowałyby poprostu ludności miasta skład nowego kompletu wybrańców. Do tego nie przyszło. Poczciwe usiłowania bezinteresownych apostołów zgody stronnictw spaliły na panewce, bo oto potężny wicher ideowej walki o odrodzenie miasta, gospodarki, mieszczaństwa lwowskiego, potargał papierowe projekty kompromisów; stała się rzecz, powtarzamy, niezwyczajna: oto wyborcy, żywi wyborcy, we własnej osobie potężną ławą poszli do urny, poszli ze stron obu, ze strony postępu i ze strony reakcyi i armia hyen, choć potężniejsza, niż kiedy, nie była przecież tym razem jedynym niemal przedstawicielem ludności Lwowa.

Postępowców i radykałów z komitetu Reformy usiłowano zizolować całkowicie, zwrócić przeciw nim zapomocą orgii oszczerstw, klątw i obelg wszystkie inne grupy i całą bezideową masę; zepchnąć ich na stanowisko socyalnych demokratów, których powodzenia i zwycięstwa wyborcze wyklucza obecna ordynacya, na cenzusie oparta; zmusić ich do szukania sojuszów poza społeczeństwem polskiem, a wówczas dobić ich potępieńczym wrzaskiem. Plan pomyślany znakomicie, przeprowadzany z tą konsekwencyą i z tem nieprzebieraniem w środkach, które stanowią siłę stronnictwa demokratyczno-narodowego. Mieszczańsko - zachowawczą „Strzelnicę“, z przyczyn utylitarnych wrogo nastrojoną przeciw reformom i stronnictwu „Reformy“, zjednali całkowicie wszechpolacy dla swoich zamierzeń. Zdołali rozdwoić grupę Reformy, podając rękę ludowcom, przyznając im łaskawie patent na narodowość i wchodząc z nimi w częściowy kompromis. Pozostawała jeszcze jedna grupa „centrum“ — polskie stronnictwo demokratyczne. Z chwilą zawarcia układu pomiędzy nią, a strzelnicą i wszechpolakami, sytuacya stałaby się nader prostą: po jednej stronie obóz „narodowy“, po drugiej radykali, socyaliści, więc żywioły od polskości i patryotyzmu odsądzane i przezywane poprostu, ot, tak, dla dźwięczniejszego brzmienia — syonistami i hajdamakami.

Na taką sytuacyę przygotowany był komitet Reformy. Szedł do walki, licząc przedewszystkiem na siłę potężniejącej z dniem każdym niezależnej opinii, na siłę haseł sprawiedliwości społecznej i narodowej i na poparcie zorganizowanej klasy robotniczej, której masa nie ma dziś zresztą, jak wiadomo, dostępu do urny. Oczywiście doszło do porozumienia i częściowej wymiany kandydatów z komitetem ludowców i komitetem mieszczan żydowskich. W ostatnim tygodniu nastąpił fakt, psujący trochę wszechpolakom ich dowcipny *ordre de bataille*. Oto demokracya polska, nie dobiwszy z nimi targu, uniemożliwionego przez ich apetyty, zwróciła się w kierunku naturalnym dla tej grupy, jeśli nie ma ona być demokracyą z imienia tylko: weszła z Komitetem Reformy w częściowy kompromis, podcinając tem samem krótkie nogi kłamstwom i oszczerstwom, sypiącym się na postępowców. Otwarcie i uczciwie stwierdzono ze strony polskich demokratów, że odsądzanie od polskości i patryotyzmu przeciwników politycznych złą jest polityką, że w interesie narodowym leży wejście do Rady przedstawiciela robotników-socyalistów. Nazwisko posła Józefa Hudeca znalazło się na liście wyborczej Demokracyi Polskiej; lista Reformy zawierała dwie jeszcze kandydatury socyalno-demokratyczne.

Ostatni dzień przed wyborami przyniósł imponującą, niebywałą w dziejach naszego samorządu miejskiego manifestacyę opozycyi, będącą zarazem i rewią sił przed walką i demonstracyą na rzecz reformy wyborczej. Ogromna hala Pałacu Sportowego, obliczona na 10.000 osób, wypełniona po brzegi, w trzech stronach hali trzy trybuny, z każdej szereg mowców, kolejno zabierających głos, w przemówieniach pełnych ognia, tchnących siłą przekonań, wzywa do walki, rzuca hasła reformy. Na zakończenie przemawia z loży do całego już tłumu dr. Aschkenase, wiceprezydent miasta, zamykając ten niezwykły *meetyng* okrzykiem: Niech żyje Reforma!

Na murach pstrokacizna plakatów, na ulicach rój roznosicieli rozdaje odezwy i listy, widnieją tablice z napisami, przesuwają się wozy reklamowe, przystrojone w narodowe barwy, tu i ówdzie festony u okien z nazwiskami kandydatów; wre agitacya na skalę zakrojona zaprawdę nie parafiańską. Na odezwach fałszywy patos arendarzy polskości i lokalnego patryotyzmu, obok tchnących szczerością i odwagą manifestów opozycyjnych; humbug łyczakowski, obok krytyki śmiałej, niekiedy zaprawnej satyrą i ciętym dowcipem. Oto apokryficzny manifest „organizacyi narodowych“, reklamujących swą listę „narodową“ i „patryotyczną“, w pierwszym zaś rzędzie swego kandydata: dyrektora Stanisława Majerskiego, za to „że na kongresie polsko-amerykańskim zwalczał hasło niepodległości Polski“,.. Oto inny apokryf: szynkarze lwowscy proszą o poparcie

niektórych kandydatów „Eleuteryi“, jako dobrych kundmanów. Oto inny jeszcze: w stylu trustu pseudo narodowego wezwanie do obrony miasta przed wrogiem, który zalewem mu grozi — przed reakcyą..

Wybory. Poruszenie w całem mieście. Tłumy wypełniają ratusz. Wre gorączkowa agitacya. Pracują dzierżący owe stampile agitatorzy stronnictw. Udział w wyborach ogromny. Oddano głosów około 11000 na ogólną liczbę 15000 uprawnionych do głosowania. A trzy tysiące kilkaset legitymacyi niedoręczonych wyborcom leży na ratuszu, trzy tysiące kilkuset wyborców zła wola, czy niedołęstwo okradły z prawa wyborczego, tysiące zaś z pośród tych ludzi napróżno dobijały się legitymacyi przez dni parę!

Dzisiaj magistrat dowolnie rozporządza legitymacyami. Magistrat panem jest wyborów. Nie dziw, że załamuje się atak opozycyi na wilczych dołach wypraktykowanych matactw wyborczych. Dla wszelkich usiłowań stronnictwa Reformy machinacye wyborcze panów ratusza tem są, czem dla szarży kirasyerów Napoleona parów, przerzynający pola Waterloo. Złe porównanie... Atak opozycyi grzęźnie u nas w tym piątym elemencie, który Napoleon odkrył na ziemi naszej, to jest w błocie.

Rezultaty?

Obóz narodowego wstecznictwa i nierozumu socyalnego uzyskał znaczną przewagę.

Demokratyczno-narodowy „powszechny komitet obywatelski“ wraz z sekundującym mu „komitetem organizacyi narodowych“ zdobył około 2500 kartek.

Strzelnicowy „komitet miejski“ z sekundującemi mu komitetami „katolickiemi“ i „chrześciańskiemi“ około 2200. Z tego sama Strzelnica zaledwie 1404, mniej niż klub Reformy. Z każdem trzechleciem liczba jej głosów się cofa. Dziś jest ona na łaskę zdana przemożnego sprzymierzeńca, który sięgnie też po rządy w mieście.

Wobec przymierza, łączącego te dwa obozy, w mniejszości znalazł się komitet reformy, który uzyskał głosów 1432, wraz z komitetem zaś mieszczan żydowskich 2167.

Inne komitety zebrały około 4000 kart, zasilając swemi głosami jednocześnie jedną, dwie, lub trzy naraz grupy zasadnicze, wyliczone wyżej. Tak więc ludowcy, głosów 200, wzmacniają listę Reformy, ale także i część jej przeciwników; centrum (demokracya polska), 532 głosów, zasila listę Reformy, a zarazem i miejską; komitet urzędniczy, kart 524, listę endecką i miejską; Rusini kart 542, listę Reformy i miejską; urzędnicy miejscy, kart 620, i komitet handlowo-przemysłowy, kart 1011, zasilają wszystkie trzy grupy.

Ostatecznych rezultatów przewidzieć nie można. Niewątpliwie, niejeden kandydat Reformy wejdzie do Rady. Istotnie, rzeczą nie do pomyślenia byłby np. upadek jednego z najwybitniejszych ludzi politycznych Lwowa, mającego względem miasta niepoślednie zasługi — redaktora Laskownickiego; ze względów społecznych i narodowych byłoby szkodą niepowetowaną, gdyby nie wrócił teraz do Rady poseł Hudec Obok nich szereg cały dzielnych i popularnych ludzi, postawionych na liście Reformy, ma wciąż jeszcze szanse wyboru. Jakikolwiek jednak obrót weźmie walka, obóz postępowy zahartuje się w niej i tęgości nabierze; dalsze trzechlecie będzie dlań niezawodnie okresem niezmordowanej pracy twórczej; przyjdzie dlań pora tryumfu nad ciemnotą narodową, nad teroryzmem nierozumu socyalnego. Hektorowe męstwo Grabskich i Brandowskich nie zbawi na długo Troi ratuszowej przed wtargnięciem w jej mury nowego życia.

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

PO WALCE.

Rozegrała się tedy na ratuszu lwowskim walka. Pierwsze wyniki już głośne:

„Zwycięstwo na całej linii!

Lwów pozostał polskim, katolickim.

Lwów odetchnął od zmory, jaka go od kilku tygodni dręczyła!

Blok postępowo-syonistyczno-masońsko-hajdamacki, zmobilizowany przez klub reformy przegrał kampanię z kretesem.

Zakusy antinarodowców, którzy szli na zdobycie rady i urzędów w stolicy kraju, odparte stanowczo“.

Taką jest opinia t. z. poważnej prasy narodowej, którą reprezentują w tej chwili Przegląd, Gazeta narodowa, Słowo polskie, Goniec, Dziennik polski, — no i Herold razem ze Śmigusem.

Stanowisko „Gazety wieczornej“ w tej walce narodowej jest mocno podejrzane, bo przewódca demokracyi polskiej, który tam rej wodzi, pierwszy wyszedł po za obręcz narodową i podał rękę pomocną nietylko najszkodliwszym jednostkom z klubu Reformy, ale także (o hańbo! o sromie!) koledze swemu z parlamentu posłowi Hudecowi, reprezentantowi zorganizowanych, robotników, należących do obozu socyalistów. Można mieć nadzieję (dodaje pobożnie Gazeta narodowa), że za ten występny czyn naród ukarał tego wiarołomcę kreśleniem na kartach głosowania.

Czy ta nadzieja spełni się?!

To jeden cień...

Jest jeszcze małe ale.

Blok nad-polski dostał sam 2500 głosów na 11.000 oddanych kart, cały blok narodowy zdobył przeszło 6000 możliwie nawet 7000, arcykapłani związku narodowego dobrze zabezpieczeni, niewątpliwie znamienicie zwyciężyli. „Ponieważ jednak w całej tej grupie pewne nazwiska nie mogą (?) liczyć na sympatye u ogółu mieszkańców ponieważ były pewne różnice na listach, kreślenia i dopisywania — nie jest wykluczone, że niektóre jednostki z bloku przeciwnego (niest ty nienarodowego) zyskały potrzebną do wyboru ilość głosów“ — takie małe „ale“ podają nawet nadworne organy twórców narodowego bloku.

A więc?

Czy jest zwycięstwo — czy będzie dopiero?

Jest.

Klub Reformy rozbity.

Przywódca ludowców, którzy należeli do klubu Reformy, postanowił nie wystąpić z klubu (broń Boże!) tylko... utworzyć klub osobny.

Wszedł w kompromisy „ideowe“ na prawo, na lewo, do środka. Zgubił wprawdzie po drodze drobniutkie hasło jedno, jedyne: „równych praw narodowościowych“ — ale dzięki mądrej taktyce politycznej, poszedł w zwycięstwie swem po nad blok, zdobył przeszło 8000 głosów! Tryumf nie lada. Będzie klub osobny — klub ludowców. Wola ludu (lista ludowa dostała 200 głosów) przemówiła tak potężnym głosem za tem hasłem. Wódz jest, szukajcie tylko armii dla niego, bo jego własna, nie broniona przez wodza, wyginęła w walce do szczętu. Cześć żołnierzom!

Jest jeszcze drugie zwycięstwo. Poszli z rady miasta posiwiali w służbie dla sprawy publicznej, doświadczeni, poważni i rozważni. Z tej trybuny publicznej nie przemówią już ani Radziszewski, ani Szpilman, ani Pisek, ani Schayer...

Przywódcy spokojnych, poważnych rozpraw, naczelnicy wydziałów oświaty, finansów, zdrowia — oni już niepotrzebni w tej dobie walki. Za mało dbali o interes narodowy, za mało rozumieli naturę nowych prądów. Nic to, że przynosili miastu dziesiątki lat i pracę i wiedzę i nieskalane imię i czyste ręce i gorące serce. Już czas, by odeszli. Są w zamian młodsi, nowi, dzielni... prawdziwi Polacy!

Bo przedewszystkiem, czyż na tamtych wobec obojętności na głos komendy narodowej można było liczyć na pewne w chwili rozstrzygającej o losach polskości Lwowa? Jest tedy napewno drugie zwycięstwo: przybyli nowi, karni obrońcy polskości patentowanej, zahartowani we walce z wrogiem narodowym, ślepo wierni komendzie.

Drżyj „Reformo“! Cześć polskiemu miastu, cześć poczuciu narodowemu, cześć obywatelstwu!

Tak.

Podkreślam to.

Złoetmi głoskami niech będzie zapisane to szyderczo pod adresem postępowego obozu w pismach narodowo demokratycznych wystosowane dziękczynienie.

A więc po za pół tysiącem rusinów (naturalnie pewno hajdamaków), po za siedmiuset żydami (naturalnie syonistami) znalazło się na 11.000 wyborców jeszcze około półtora tysiąca dojrzałych, uświadomionych obywateli Polaków, którzy odważyli się oddać w głosowaniu wyklętą listę wyborczą klubu Reformy, a znalazło się po za syonistami i rusinami liczącymi razem 1200 głosów aż cztery tysiące takich, którzy oddali swe głosy wodzom jawnym tej wyklinanej, wzgardzonej, deptanej, stojącej po za narodem Reformy?!

A więc jest jeszcze odpór na ucisk, na gwałty, na terror?!

A więc ciężkie kolubryny władz ratuszowych, a więc podjazdy sfer gończych, wyklinania z najwyższej rady nadnarodowej, oszczerstwa najętych pismaków, sojusze prezesów i dygnitarzy najwyższego autoramentu, — to wszystko jeszcze nie przestrasza, nie zabija, nie gwałci woli ani sumienia?!

Nie i stokroć nie!

Dzięki Ci Lwowie!

Garstka skromna wolnych obywateli poszła w bój o wolność i postęp, — o równość i prawdę.

Głosiła je jawnie i otwarcie wszystkim bez różnicy, w ratuszu i po przedmieściach wielkim i małym...

Garnęli się przedewszystkiem ci ostatni — bo oni wydziedziczeni, pozbawieni praw, żądni prawdy, żądni swobód i obrony.

Ci głosu nie mieli w tej walce...

Ale odezwało się echo i wyżej, tych co mają prawa!

I to echo odpowiedziało pięciu tysiącami głosów, oddanemi na wyklętych przez blok narodowy reprezentantów walczącej „Reformy“:

„Idźcie i walczcie dalej“!

A więc wbrew hasłom rzucanym na „zdrajców sprawy narodowej“, bez poniżających próśb i haniebnych kompromisów, mimo terroru, bojówek, napadów, szacherek wyborczych i mimo trzech tysięcy niedoręczonych kart wyborczych, mimo nagonki na podejrzanych o sympatye dla Reformy, wraca do Rady zastępstwo obozu postępowego, możliwie nieuszczuplone, wraca po długim, mozolnym, ciężkim boju o zasadnicze idee, zdobywszy sobie wśród znojów i trudów tysiączne sympatye, gorące serca, szczere poparcie przyjaciół i nowych zwolenników.

Wraca do nowej walki, wraca zahartowane w boju, zespolone trudami wspólnie przybytej kampanii, ożywione gorącem poparciem najszerszych mas ludności, której jedynym i szczerym obrońcą w Radzie miasta było, jest i pozostanie!

Jutro do nas należy.

Z tą wiarą idziemy dalej naprzód wiernie sztandarowi, którego nie splamiliśmy i nie splamimy.

Z PRASY POLSKIEJ.

WOLNA SZKOŁA.

Pismo pod tym tytułem rozpoczęło we Lwowie swoje istnienie; wychodzić będzie co miesiąc w objętości 2—3 arkuszy; prenumerata roczna wynosi kor. 6., półroczna 3; numer pojedynczy 60 hal. Redakcya: ul. Tarnowskiego l. 7. administracya: ul. Wronowska l. 5. Redaguje Komitet, podpisuje dr. Mieczysław Orłowicz.

Leży przed nami zeszyt I, za styczeń rb. W artykule wstępnym zapowiada redakcya między innemi:

„Walka o wolną szkołę, o wyzwolenie systemu nauczania z pod wpływów obcych, nic wspólnego z nauką nie mających, z pod wpływów państwa, kościoła i stronnictw politycznych, — toczy się nie od dzisiaj i nie raz była już przedmiotem publicznej dyskusyi.

„Ale wszystko, co się w tym kierunku robiło, miało charakter dorywczy, epizodyczny, ograniczało

się na wystąpieniach poszczególnych jednostek i ogółu nie porywało za sobą.

„Chcemy zatem tej nieskonsolidowanej pracy nadać ciągłość, chcemy ująć ją w formę, wcielić w widomy kształt, któryby znaczył uzyskane zdobycze, a zarazem wzkazywał zbliżanie się do celu.

„Tych zamiarów wyrazem jest wydawnictwo Wolnej Szkoły...

...„Wolna szkoła będzie... terenem, na którym skojarzyć się mają doświadczenia pedagogów ze spostrzeżeniami i uwagami rodziców. W tych tedy warstwach społecznych szukamy przedewszystkiem zwolenników naszych i pomocników w pracy. I mamy nadzieję, że ich znajdziemy. W społeczeństwie naszem tem więcej braknąć ich nie powinno, że i pod względem narodowym wiele jeszcze mamy do odrobienia i do odbudowania, a wolna szkoła, wychowująca wolnych ludzi, sprzymierzona jest duchowo z wolnością narodu".

Ostatnią myśl rozwija obszerny artykuł pt. „Narodowość a wolna szkoła" — najpoważniejszy z zamieszczonych w tym zeszycie. Tutaj postulat wolności nauki oparty jest na fakcie, że wAustryi szkół narodowych — niema. Niema też szkoły polskiej ani ruskiej. Stworzenie typu narodowej szkoły jest zadaniem przyszłości.

„Szkoła austryacka jest typowym dziwolągiem, zlepkiem najrozmaitszych metod wychowawczych, nie uwzględniających charakteru danego narodu, a usiłujących wychować— lojalnego obywatela państwa. Ponieważ zaś przeciętny Austryak nie istnieje, a co za tem idzie, patryotyzmu austryackiego wyworzyć nie można, więc wychowanie narodowe opiera się u nas na granicach krajów koronnych a w szerszym zakresie na budzeniu uczuć dynastycznej lojalności. Stąd też historyą „kraju rodzinnego" nazywa się u nas historya Galicyi, a opowiadania z dziejów „ojczystych" zawierają panowanie Maryi Teresy, Józefa II. i rycerskie czyny feldmarszałka Radetzky'ego"..,

Szkołę wolną pojmuje autor jako afirmującą w sposób stanowczy indywidualność swoją narodową i pielęgnującą uczucia narodowe. Pracując dla rozwijania na gruncie narodowym kultury ogólnoludzkiej „wolna szkoła polska pogłębi u wychowanków uczucia narodowe polskie, ruska ruskie, niemiecka niemieckie, ale przedewszystkiem wychowa ludzi!"

Zeszyt pierwszy, zredagowany żywo; ma charakter programowy i agitacyjny. Oczekiwać należy, że dalsze przynosić będą obfity materyał faktyczny, krytykę rzeczową i szczegółową tego, co jest, pozytywne konstruowanie tego, co stworzyć trzeba. Mamy pełną nadzieję, że nowy prąd uchroni się od wszelkich dogmatyzmów, nawet wolnomyślicielskich, i że wierny pozostanie słowom: „Wolna szkoła jeżeli rozwinie się u nas, nie będzie przeniesiona z Niemiec albo Francyi, choć tam rozwinęła się wcześniej, ale będzie samorzutnym wyrazem ewolucyi w kształceniu się, przed którą mimo najuporczywszych wysiłków nie obronilibyśmy się nigdy".

SILVA RERUM.

DUCH HETMANA-WISIELCA... Odkąd w dniu 25-go kwietnia 1794 r. zawisł na szubienicy w pośrodku rynku wileńskiego hetman-samozwaniec, Szymon Kossakowski, upłynęło lat sto kilkanaście. Odmieniła się Litwa. W krwawych kąpielach wojennych i powstańczych stopniał zastęp Jasińskich, Korsaków, Grabowskich. Z rosnącą coraz bezczelną odwagą snuł się po zaułkach Wilna, po placu swojej kaźni, duch hetmana-wisielca. Z czeredą innych upiorów, z duchami biskupów-wisielców pospołu, wiódł on szlachtę i kler litewski pod pomnik Murawiewa-Wieszatela i carycy Katarzyny. Lecz dziś dopiero, na ruinach nadziei narodu, rozbudzonych w lata wojny i rewolucyi, duch Kossakowskiego ważył się przemówić do społeczeństwa, ufny, że nie zgłuszy go warczenie bębnów ni krzyk motłochu: gilotyny! niech żyje rewolucya!

Duch litewskiej Targowicy, najbezwstydniejszej w swojem zaprzaństwie, uosobił się dziś w hr. Ignacym Korwinie Milewskim, który mieni się prawym przedstawicielem szlachty litewsko-polskiej. W dwóch kolejnych broszurach — „Głosie szlachcica" i „Wiązance odpowiedzi szlachcica" apostołował on rozbrat pomiędzy szlachtą litewską, a narodem polskim i całkowite jej oddanie się sprawie państwa rosyjskiego i rosyjskiej dynastyi. Otóż dnia 26. lutego hr. Milewski zjawił się w Petersburgu na zjeździe dorocznym szlachty rosyjskiej, aby zjednać ją dla swych idei „objedinienja".

Przemówienie hr. Milewskiego poprzedził przewodniczący zjazdu Uszakow, wstępem, w którym powiedział: „Rozdana już została broszura hr. Korwin Milewskiego, w której wywodzi on, że szlachta litewska gotowa jest raz na zawsze i wiernopoddańczo złączyć swoje losy z losami monarchii rosyjskiej i w łączności z całą szlachtą rosyjską służyć „gosudarom" rosyjskim i wspólnej ojczyźnie. Inicyatywę do tego ruchu dał hrabia Milewski, który też natychmiast sam głos zabierze".

Dalej mówił Uszaków w te słowa:

„Nic nie szkodzi, że na razie jest on sam jeden. Ważnem jest, że znalazł się przynajmniej jeden człowiek, który odważa się powiedzieć głośno to, co inni w cichości myślą. Wszyscy wiedzą, jak trudną jest droga przeciw prądowi, szczególniej przeciw prądowi politycznemu. W tak trudnem położeniu byli zawsze głosiciele nowych idei. W r. 1413 ogłoszoną została unia Litwy z Polską. W r. 1913 przypada trzechsetny jubileusz panowania domu Romanowych i w tym też roku doszliśmy do możliwości zjednoczenia szlachty litewskiej z rosyjską".

Dalszy przebieg posiedzenia w ten sposób przedstawia sprawozdawca „Nowego Wremieni".

Na trybunę wchodzi hrabia Ignacy Korwin Milewski, barczysty, średniego wzrostu, siwy starzec, typowy polski hrabia. Oświadcza on, że występuje otwarcie ze swoją deklaracyą i nie boi się gróźb swoich rodaków-antagonistów, chociaż otrzymał już wyrok śmierci. Nie jest on bowiem sam. Stoi za nim wiele szlachty litewskiej, która przeszło 500 lat siedzi na swojej ziemi, i która przez 300 lat walczyła przeciw Polsce, od 130 zaś lat należy do wielkiego imperyum rosyjskiego. „Ani my — powiada mowca — ani dzieci nasze nie jesteśmy temu winni, że nas uważają za obcoplemieńców, podczas, gdy my jesteśmy ciałem i krwią waszą, braćmi waszymi". (Frenetyczne oklaski). Mówca ciągnie dalej: Mówiłem też moim rodakom: Panowie, usłuchajmy woli bożej, porzućmy niezniszczalne marzenia i stańmy się na zawsze częścią państwa rosyjskiego. Nasze warunki, nasz prosty rachunek, zniewalają nas do poddania się tej konieczności. Wszyscy prawie zgadzają się na to. Cóż jednak temu przeszkadza? Oto to, że wrogowie nasi rozpuszczają pogłoski, iż skoro tylko nastąpi zjednoczenie nasze z Rosyanami, oni natychmiast zażądają od Litwinów zmiany religii, kultury i języka".

Mówca kończy prośbą, aby szlachta rosyjska oświadczyła, iż pogłoski te są nieprawdziwe i aby mu dopomogła w tem trudnem jego dziele.

Grzmot oklasków. Drugi przewodniczący graf Bobrinskij proponuje, aby na mowę hrabiego Milewskiego natychmiast odpowiedzieć rezolucyą. Ktoś chce przemawiać, ale serdeczni ludzie rosyjscy, już rozwarłszy ramiona do szczerego uścisku, uważają wszelkie mowy za niepotrzebne, nic bowiem nie powinno psuć radosnego ich i uroczystego nastroju. Ze wszystkich stron słychać okrzyki: „Nie potrzeba mów, nie potrzeba"! Przewodniczący poddaje pod głosowanie kwestyę, czy dopuścić dyskusyę. Ogromna większość głosuje przeciw otwieraniu dyskusyi.

Następnie hr. Bobrinski odczytuje rezolucyę, którą jednogłośnie zebrani uchwalają:

Rezolucya ta brzmi:

„Zjazd, wysłuchawszy oświadczenia hr. Milewskiego i witając z radością nowy prąd wśród szlachty litewskiej, wyraża nadzieję, że cała szlachta północno-zachodniego kraju, zachowując swój język, swoją wiarę i swoją kulturę w rodzinnem i wogóle w prywatnem życiu, wyrazi nieodwołalne swoje postanowienie nie tylko dochować wierności monarchicznym i konserwatywnym zasadom, ale także, posłuszna wezwaniom dwóch z kolei rosyjskich imperatorów, uzna za swoją ojczyznę nie Polskę, ale Rosyę".

Jeszcze raz zebranie urządziło hr. Milewskiemu gorącą owacyę, poczem przystąpiono do porządku dziennego...

ŚLADEM NOWISILCOWA. Roznamiętnienie polityczne dni ostatnich przyniosło nam w plonie fakt ohydny. Oto dwa pisma, plugawiące codziennie honor imienia polskiego aktami, godnemi hakatystów pruskich i czarnosecińców rosyjskich, posunęły się w walce przeciw groźnemu przeciwnikowi politycznemu, wiceprezydentowi drowi Aschkenasemu do napaści na jego rodzinę i jego syna. Jakby zamówiony przez „Słowo Polskie" i „Dziennik Polski" zaszedł w gimnazyum III. we Lwowie fakt, oczywiście karygodny i z bezwzględną surowością ukarany, że kilku chłopców czternastoletnich żydowskiego wyznania ukrytych pod ławkami przemyciło się na godzinę religii katolickiej i wówczas zaczęło broić. Wśród winnych znalazł się syn dra Aschkenasego. Cóż za świetna okazya, aby w osobie syna uderzyć ojca, aby do oszczerstw, codziennie na ojca miotanych, dodać nowe, rzucone na dziecko!

Z „rewelacyą" o całem zajściu zatytułowaną „Oburzające!" — wystąpił na trzy dni przed wyborami „Dziennik Polski", organ „Strzelnicy". Czytamy tam o zajściu w klasie V. gimn. III. co następuje:

„W dniu, w którym wydarzyło się opisywane przez nas zajście, uczniowie-żydzi, widocznie z góry powziętym już planem, pozostali na wykładzie księdza R. W jakim celu — pokazało się aż nazbyt wyraźnie. Oto, gdy katecheta rozpoczął rozpoczął lekcyę, wśród pozostałych w klasie uczniów-żydów dały się słyszeć najprzód szepty i śmiechy, potem co raz głośniejsze rozhowory, które przeszły w końcu w gwałtowny hałas. Była to jak się okazało d e m o n s t r a c y a p r z e c i w k a t e c h e c i e i j e g o w y k ł a d o w i, demonstracya, którą uczniowie żydzi posunęli aż do tego stopnia, że, nie poprzestając już na hałasowaniu i prowokujących okrzykach, zaczęli rzucać kaloszami i zdjętemi z nóg bucikami na katedrę, przy której siedział ksiądz R.

„Reszta będących w klasie uczniów i sam katecheta tak byli tem oburzającem zajściem zaskoczeni, że nie wiedzieli poprostu, co począć w tym wypadku. A szkoda, prawdziwa szkoda, że młodzież katolicka nie dała ujścia swemu oburzeniu i nie wyrzuciła z klasy demonstrujących żydziaków. W wypadku takim, jak opisany, byłoby to zupełnie wytłumaczone.

„Sprawą zajęła się Dyrekcya gimnazyum, a z przeprowadzonego przez nią zaraz po zajściu dochodzenia okazało się, że wśród prowodyrów tej oburzającej demonstracyi żydowskiej znajdowali się: **synalek** w i c e p r e z y d e n t a m i a s t a i p r z y w ó d c y n a s z y c h „r e f o r m i s t ó w" **dra Tobiasza Aschkenasego**, o r a z s y n a l e k r a d n e g o m i a s t a, t a k ż e r e f o r m i s t y, S c h l e y e n a. Niedaleko więc jabłko padło od jabłoni i pan wiceprezydent Aschkenase może być zaiste dumny ze swego prawowiernego spadkobiercy „ideowego".

Do powyższego wywodu „Dziennika" dodało od siebie sojusznicze „Słowo Polskie" następujący komentarz, w którym znać wytrawne pióro profesora uniwersytetu, dra Stanisława Grabskiego:

„Na te objawy wśród młodzieży winni zwrócić baczną uwagę sami żydzi. Tym najmłodszym udzielają się prądy, idące ze związków wolnomyślicielskich i znajdują w umysłach chłopięcych karykaturalny odgłos. Tutaj w kl. V. rzucano podobno butem na katedrę, podczas gdy w Krakowie starsza młodzież żydowska używa siły na wykładach ks. Zimmermanna (kłamstwo, młodzież żydowska nie brała udziału w demonstracyi!) i popsuła swem warcholstwem stosunki na uniwersytecie.

„Niedawno ogłoszony przez nas fakt propagandy za pomocą odezw drukowanych przeciwko spowiedzi w szkołach średnich (czytaj: przeciw przymusowi oddawania kartek kontrolnych) miał to samo źródło. Podpisane na odezwie tej jakieś koło „promienistych" pozostaje pod kierunkiem syna jednego z najwybitniejszych przedstawicieli żydowstwa lwowskiego". (Co za zmysł holmesowski!).

Słowem: spisek żydowsko-wolnomyślicielski i antyreligijna, czy tam antykatolicka demonstracya! Są dzisiaj zatem w Polsce „szanowani" i „wpływowi" ludzie, którzy zwyczajną szkolną swawolę 14-letniego chłopca zdolni są wystawić, jako spisek przeciw religii! W ten sposób stwarzał spiski najpodlejszy między podłymi służalcami cara: Mikołaj Nowosilcow.

Zepsuła trochę robotę naszym „narodowym" Nowosilcowom dyrekcya gimnazyum III. następującem poświadczeniem urzędowem:

„Z powodu wczorajszej notatki w „Dzienniku Polskim" o zajściu na nauce religii w 5 klasie tut. gimnazyum, c. k. dyrekcya zakładu stwierdza, że fakt, do którego się notatka odnosi, pozbawiony był wszelkiego tła antyreligijnego lub antyklerykalnego, że był to zwyczajny wybryk studenckiej swawoli bez jakiejkolwiek zamierzonej tendencyi, — który mógł tak samo wydarzyć się na godzinie historyi naturalnej, lub matematyki, jak na godzinie religii i nie był też skierowanym przeciw żadnemu z członków grona nauczycielskiego, ani przeciw katechecie tut. zakładu, ks. Richterowi".

Pozostał fakt: że do metod junkrów pruskich przydano w naszym dorobku politycznym metody rosyjskich prowokatorów...

(Chim) POTRZEBA NIEZALEŻNEJ KOMUNIKACYI MIĘDZYZABOROWEJ coraz dotkliwiej daje się we znaki. Jest rzeczą zrozumiałą, że poczta i kolej mimo ich rzekomo międzynarodowego charakteru służą w pierwszym rzędzie potrzebom rządów i są na usługi ich jawnych i tajnych zleceń. Niemniej wszakże jasną rzeczą powinnoby być dla każdego myślącego Polaka i to, że od łaski pruskiego pocztyliona lub rosyjskiego żandarma granicznego nie może zależeć porozumiewanie się z rodakami za kordonem zamieszkałymi, lub z rodziną.

Dla kogo Polska nie kończy się w Mysłowicach ani na Granicy, ten powinien pomódz radzić nad tem, jakby się obejść bez pomocy urządzeń komunikacyjnych nam wrogich.

Wysłane do Prus kilka numerów okazowych „Życia", wróciły z dopiskiem „Adressat gestorben". Po rozpisaniu listów kondolencyjnych do naszych znajomych dowiadujemy się, że adresat żyje zdrów, a tylko dowcip pruskiej poczty niepotrzebnego narobił popłochu i naraził na straty wielokrotne porta. Niewczesne to żarty.

Jak nasi listowi i pocztmistrzowie dowiedzą się o tak łatwym sposobie uchronienia kraju od sąsiadów „von da Draussen", gotowi naszych domorosłych wielbicieli państwa ładu i bojaźni Bożej uznać naprawdę za wymarłych.

Przykład pruskich obyczajów, jakkolwiek nie bardzo obyczajny, tym razem łatwoby naśladować.

Od tego jednak udzielanie się naszego życia, pisanego małą zarówno jak wielką głoską, po za rogatki galicyjskie nie powinno być zależne.

Dla kochanków żaden płot nie za wysoki.

Na więźniów i zesłańców.

Wydawnictwo „Życia" 30 K. — Gustawowie Danitowscy 10 K. — Dr. Maryanowie Kukielowie 10 K. — Helena Kukielowa 20 K. — Razem 70 K. — Wzywamy do dalszych składek!

Otrzymaliśmy list następujący:

„Wyrazy wdzięczności za przypomnienie obowiązku tych najszlachetniejszych i najnieszczęśliwszych.

„Posyłam czekiem 10 K na więźniów i zesłańców politycznych. Niech od ust ujmą dzieciom, by pomódz braciom, niech to będzie zwyczajną ceną za niezapłaconą dotąd koszulę, jaką mnie obdarowano uchodzącego z cytadeli.

1. marca 1911 r. w Kleparowie. *Joachim Sołtys.*

Szan. przedpłacicielom, którzy dotąd zalegają z prenumeratą za kwartał bieżący, przypominamy, że termin odnowienia jej minął, ustalenie zaś liczby stałych odbiorców konieczne jest dla uregulowania nakładu.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40** hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Adres Administracyi: Dąbrowskiego 2, (parter na prawo).

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.